

---

VARIA KOLBUSZOWSKIE

---

Alicja Bober

**ŻYCIE AUTOREM**

---

Kolbuszowa 2005 r.

**MIPBP**  
w Kolbuszowej  
Książka zakupiona z funduszy  
powiatu kolbuszowskiego.

Redaktor serii "Varia Kolbuszowskie": Andrzej Dominik Jagodziński  
Redakcja: Jacek Bardan, Zbigniew Lenart, Wojciech Mroczka  
Redaktor graficzny: Jarosław Hrycyszyn  
Redaktor wydania: Zbigniew Lenart  
Projekt okładki: Wilhelm Hrycyszyn

Przygotowanie do druku, korekta, posłowie:  
Gustaw Ostasz i Katarzyna Waszczyszyn

Fotografie ze zbiorów  
Alicji Bober



8415

ISBN 83-916150-7-3  
ISSN 1231-6393

Wydawca: Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kolbuszowej,  
adres: 36-100 Kolbuszowa, ul. Piłsudskiego 7, tel. (017) 227 18 23

Wydanie pierwsze  
Kolbuszowa, grudzień 2005 r.

Łamanie i druk: ABAKUS, Kolbuszowa, ul. Wiktora 21  
nakład: 400 egz.

*Moim Najdroższym  
i Tym wszystkim  
gnębnym zamęczonym  
w więzieniach  
łagrach  
na zesłaniu  
którzy  
nie zdołali przeżyć  
i Tym wszystkim  
którzy to przeżyli.*

## DZIŚ TU A JUTRO TAM

### *Pożegnanie Lwowa i podróż*

Kiedy szurnęły ciężkie drzwi i zamknięto je na skobel, wagon bydlęcy stał się bardzo mroczny. Dwa okienka pod sufitem, powyżej górnej półki, zwanej narą, prawie nie dawały światła. Nieszczęśni pasażerowie oswajali się z mrokiem. Jeśli kto już ochłonął, szukał na półkach miejsca dla siebie, bo cały wagon zawalony był kuframi, walizami, różnymi tłumokami, tarasującymi przestrzeń. Znalazłam miejsce na górnej półce, obok cioci Izy, przycupniętej przy okienku, dołączyła do nas mama. Wciągnęłyśmy tam również dziewczynkę, Cesię. Z zewnątrz docierały głosy komend po rosyjsku, ukraińsku i polsku, wołania dzieci i dorosłych, płacz, szuranie ciężkich wagonowych drzwi. Ruch tam wzrastał. Z okienka chłopcy obserwowali peron, wywoływali nazwiska podawane przez ludzi biegnących wzdłuż pociągu w poszukiwaniu bliskich.

– Prędko piszcie kartki z adresem rodzin! Ludzie je zbierają i pobiegną zanieść. Piszcie, piszcie! Może wasi zdążą tutaj, by coś donieść z potrzebnych wam rzeczy.

Wszyscy zabrali się za pisanie: my do babci z prośbą o naczynia; nie mieliśmy ich wcale. Ledwie udało się nam wziąć trochę odzieży i trzy poduszki, w tobołku z dwóch starych kap na łóżka. Ciocia przynajmniej zdołała zabrać walizeczkę z odzieżą i pudło z kołdrą. Dano nam zbyt mało czasu na pakowanie. Odbywało się w trybie alarmowym. Dopiero tutaj zobaczyliśmy nędzę swego wyposażenia, gdy innym rodzinom udało się zabrać tak wiele. Zapewne trafiły na mniej nieludzkich wykonawców przesiedlenia. Lokomotywa nagle zagwizdała przeraźliwie i szarpnęła tak mocno, aż ludzie się wywracali.

– Żegnajcie! Bądźcie zdrowi!

– Wróćcie! Wróćcie!

– Zostańcie z Bogiem!

Ryk, szloch, zgiełk, hałas, zamieszanie, rozpacz i szaleństwo. Pociąg na-

bierał szybkości, więc chciałam się wycofać od okienka, do którego mnie wzywano, bym rzuciła swą kartkę, lecz zatrzymała mnie matka chłopców.

– Ta kartka już nie dojdzie, ale może jeszcze gdzieś pociąg przystanie po drodze. Zostań, popatrz!

Przystanął na Podzamczu, tuż nad skarpą. Z domu Stankiewiczów wybiegła cała rodzina.

– Co wam podać? Co trzeba? Wołali do mnie, gdy machałam z okienka.

– Słuchajcie! Wasz słoik i pudełko Ali Dawidowicz są w naszej piwnicy, w pace, pod książkami. Idźcie do mej cioci Juli, ma klucz. – Darłam się, uradowana, że ocaleje ich złoto, dane nam na przechowanie, bo już mieli nieproszonych lokatorów.

– Mów, co wam przynieść! Wołali, lecz pociąg szarpnął gwałtownie i ruszył.

– Żegnajcie!

Patrzyliśmy na ostatnie widoki Lwowa, których uczyłam się na pamięć. Najdłużej żegnała nas okaleczona przez bombę wieża Ostrobramskiej. Na jak długo? Tyle, tyle rodzin, taki strasznie długi pociąg.

– Piątek, trzynastego kwietnia, co za dzień! Westchnęła pani, która w kapełuszu z piórkiem, znalazła się w tym bydlęcym wagonie, w tej nieplanowanej podróży. Jakoś zaczęto ustawiać i upychać, rozmieszczać się na narach i na środku wagonu. W rogu, blisko naszego kąta, otwór w podłodze, obramowany czterema deseczkami, tworzącymi korytko; widocznie przygotowano go nam zamiast ubikacji. Panie poświęciły dwa prześcieradła na pseudo-parawan. Potem wyciągano żywność i zabrano się do jedzenia, co kto miał. My też. Było tego niewiele. Mama, zanim wyszła z domu, odkroiła całuskę z dwukilowego chleba, na drogę. A w „bratrurze” została rynka paluszków, bo poprzedniego dnia nikt nie mógł jeść z przejęcia, gdyż zakończyła się dwudniowa rozprawa Wandy, zapadł wyrok: pięć lat za kontrrewolucję. Nas właśnie zabierano na zesłanie, jako rodzinę aresztowanej. To już stało się bez decyzji sądu.

Na jakiejś stacji pozwolono wyjść trzem osobom z wagonu po żywność i wodę. Karmiono nas raz na dobę, przeważnie stęchłą kaszą oraz wrzątkiem. Wody mieliśmy zawsze za mało, pół szklanki na osobę dziennie. Pierwszego dnia podróży dostarczono nam kilka brył węgla, trochę drewna na rozpałkę i ogarek świecy; co się już nigdy więcej nie powtórzyło. A w małym, żelaznym piecyku trzeba było palić na noc, z powodu zimna. Nasz wagon nr 38 sprawiał wrażenie przepelnionego, choć jechało w nim tylko trzydzieści kilka osób, czyli mniej, niż w innych wagonach.

Wieczorem dwuletnia Ziuteńka płakała, że musi iść spać bez kąpieli. Czteroletni Loluś próbował wytłumaczyć siostrzyczce, że nie mają wanienki, ani wody, bo nie są w domu, czym mała rozżaliła się jeszcze bardziej, aż przykro było wszystkim. Wtedy Jurek i Staszek zaczęli śpiewać. „Tę piosenkę, tę jedyną”. Dołączyły inne dzieci, a matki zajęły się szykowaniem legowisk na noc. Matka owych dwóch małych śpiewaków ułożyła na naszej narze materace dla swej matki, staruszki męczzonej okropnym kaszlem. Zrobiło się nam ciasno, dwie poduszki musiały pomieścić ciocię, mamę, mnie, Cesię. Cesia była półsierotą, wziętą zamiast ojca, oficera policji, którego sowieci nie zostali w domu. Liczyła czternaście lat. Miała jedną walizkę z odzieżą, drugą z książkami. Ojciec mój znalazł miejsce na dolnej półce, obok chłopaków, trójki rodzeństwa i jeszcze paru osób. Wszędzie ciasno. Twardo było na deskach przykrytych kapą, zimno pod płaszczem, bez innego okrycia, cierpło się z niewygody, braku powietrza i natłoku myśli. Niekiedy słyszało się czyjeś tłumione łkanie, kaszel, jęk przez sen. Czasem ktoś świecił zapałkę, usiłując się dostać za parawan i potykając po drodze o leżących i bagaże. Stukot kół trochę tłumił te odgłosy i coraz bardziej wwiercał się do mózgu. Noc wlokła się dziesiątkami kilometrów, które pogłębiały przepaść pomiędzy naszym dotychczasowym życiem, a tą niewiadomą, której rozmiaru jeszcze nie znamy, ale już zaczynamy odczuwać jej gorycz. Nazajutrz, gdy już wszyscy pozbierali się ze snu, Staś z Jurkiem zaczęli śpiewać „Kiedy ranne wstają zorze...”

– To tak u nas w koszarach zawsze żołnierze śpiewali rano, to się człowiek przyzwyczał; powiedział jedenastoletni mężczyzna, wprowadzając ten zwyczaj w wagonie. Gdy zwinięto legowiska, młodzież zesła z nar, by wyprostować obolałe kości. Opowiadaliśmy o szkole i książkach o Syberii, jakie kto zdążył przeczytać: Wacława Sieroszewskiego, Bronisława Piłsudskiego, Ferdynanda Ossendowskiego, Zofii Szczuckiej, Ferdynanda Goetla; również o książkach o rewolucji: Stefana Żeromskiego.

– Tatku – mówiłam później rozgorączkowana do ojca – tyle jest tych książek, tyle możemy już z nich wiedzieć, jak to dobrze, że o tym pisano. Takie różne koleje losu.

– Masz rację. Życie wymyśla najróżniejsze.

– I nasze życie?

– To tato napisze potem o tym, co tam będziemy przeżywać, dobrze?

– A, pewnie, że to powinno być spisane, pewnie. Wiesz, staraj się mieć w życiu oczy otwarte: obserwuj i zapamiętaj, nawet jeśli czegoś nie rozumiesz, staraj się zapamiętać, a zrozumienie przyjdzie z czasem. Potem mi

przypomnisz, do tej książki o zesłaniu, bo musi być prawdziwa, musi. Inaczej nie warto pisać. Dobrze? Zamyśliłam się nad ową przyszłą książką, której treści jeszcze nie znał autor. Jakie będzie jej zakończenie? Oby szczęśliwe, oby. W Podwołoczyskach żegnaliśmy polską granicę i każdy chciał rzucić okiem na Zbrucz, który już nas oddzielił od ojczyzny.

W Wołoczyskach pociąg stał długo, ale nie zanosilo się na otwarcie wagonów i wypuszczenie trójki po wodę. Przechodnie z peronu obiecali nam wodę przynieść, więc okienkiem spuściliśmy jedyne wiadro na sznurze. Czekaliśmy długo, choć studnia była blisko. Przepadło wiadro i sznur, pozostała nauczka. Trudno. Teraz brak wody był jeszcze bardziej dotkliwy. Poważna strata. A na najbliższej stacji wprost tragedia. Gdy wypuszczono z wagonów trójki po wodę, podczas zamieszania panującego na stacji jakaś młoda para spuściła się z okienka na tyłach pociągu i ruszyła na wzgórze, za którym spodziewała się znaleźć ratunek. Zanim dotarła za pochyłość wzgórza, sypnęły się strzały. Padli oboje. Wokół pociągu rozszalała się bieganina i wrzaski, przygoniono pędem tych wypuszczonych z wagonów, zabroniono patrzeć przez okienka i pociąg znów ruszył z kopyta, szarpnąwszy z całej siły. Tak nas powitano na progu nowej rzeczywistości.

– Ta, czegoż oni, głuptasy, dopiero za Zbruczem zdecydowali? Lamentowała na dole babcia Gajewska, a wszyscy byli tak wstrząśnięci, że nawet chłopaczkom nie chciało się śpiewać. Następne szarpnięcie pociągu spowodowało upadek pani Jadwigi z górnej półki wprost na rozpalony właśnie piecyk, gdzie przypiekła sobie całe przedramię. Staś rozplakał się z żalu nad matką, aż go Jureczek pocieszał. Mila i Jaś, rodzeństwo medyków, rzucili się na ratunek, a babcia na materacach dostała ataku kaszlu i bałam się, że to może być kaszel ostatni. Bezradność pozbawiała nas złudzeń. Uczyliśmy się, jak wygląda wolna zsyłka.

Pakując we Lwowie rzeczy, ojciec wziął ze sobą Ewangelię. I oto teraz w pociągu czytał. Ludzie uciszyl się i coraz głośniejsze rozlegał się dobitnie czytany tekst. „Maluczko, a nie ujrzycie mnie. I znowu maluczko, a ujrzycie mnie w pełni chwały”. I nagle głos ojca załamał się wzruszeniem, a tu i ówdzie zrywał się nagły szloch lub ciche pochlipywanie. Nie jesteśmy opuszczeni przez Boga. To przecież słowa otuchy: „Maluczko, a ujrzycie mnie”. Zapamiętamy je. Będą promieniem pośród ciemności, źródłem ciepła w czasie mrozów: Bóg nie da nam zginąć. Uratuje. „Maluczko”. Wiele rąk wyciągnęło się po tę księgę nadziei.

Wołęgę przejeżdżamy pod Saratowem. Wieczorne światła odbijały się po drugiej stronie ogromnej rzeki. To jeszcze Europa. Ural mijamy nocą. Obszar

kamieni oraz piachu, wydając się śniegiem wzdłuż jeziora Aralskiego, uzmysłowił nam, że znaleźliśmy się w Azji. Gdzieś na pustyni pociąg przystanął. Na torach pracowali nędzarze, Azjaci. Wołali do nas w swoim języku, gestykulując błagali o jedzenie. Nie mieliśmy czym się dzielić. Tego dnia w wagonie prawie nikt nie zjadł kaszy, wyjątkowo niedobrej. Pociąg szarpnął, szybko więc zgarnięto tę kaszę na gazetę. Delikatnie spuszczone z okienka wagonu, spadając, rozdarła się, a zawartość runęła w piach. Nieszczęśni z krzykiem rzucili się, jedni przez drugich wybierali tę okropną kaszę z piasku, byle prędzej zjeść.

Czy i nam szykują sowieci podobny los? Dwukrotnie na pustyni otwarli wagony, abyśmy wyszli. Za pierwszym razem mieliśmy wrażenie, że nas po prostu chcą na owym bezludziu zostawić, a sami odjechać z tym wszystkim, co jest w pociągu. Spacerując wzdłuż wagonów spotykaliśmy znajomych. – „Wy też? Mój Boże!” Szaro brudni, wymięci, udręczeni. Zawieszeni między rozpaczą, a nadzieją. „Maluczko”.

Po dziewiętnastu dniach pociąg zatrzymał się na stacji Ajaguz, nad rzeką. Wydano nam żywność, okropną kaszę i wodę; trzy butelki wody na wagon. Postój trwał długo. Przed wieczorem konwojenci zdejmowali sztaby, rozsuwali drzwi i pod przewodnictwem oficera NKWD sprawdzali zesłańców. Nazajutrz kazachskie furmanki, zaprzęgnięte w woły, zbiorą bagaże, głównie pasażerów z części tylnej pociągu, który liczył pięćdziesiąt osiem wagonów. Ten długi pociąg ciągnęła jedna lokomotywa z przodu, a pchała inna; z tyłu. Coraz więcej zesłańców opuszczało stację. Było późno, gdy po nas przyjechał samochód ciężarowy. Po paru godzinach znaleźliśmy się w jednej z ferm sowchozu Tas Bułak; nazywała się Łaj Bułak. Noc spędzimy pod gwiazdami, przy tobołach, wśród tubylców, którzy gromadzili się, aby nas obejrzyć. Świętowali już 1 maja i nie było mowy o żadnym spaniu. Rankiem zjechały podwozy, załadowano bagaże i ruszyliśmy – sto osób – do fermy centralnej, pożegnawszy zostawionych. W odległym o dwadzieścia kilometrów Sigizbaju trafiamy do klubu. Izba posiadała stół, dwie ławki, scenę. Zajmowaliśmy miejsca pokotem, nam się udało szczęśliwie, bo przy ścianie. Urządzono dla Polaków kąpiel w łaźni, zresztą jedyny raz. Na poczcie podano nam adres: Sowchoz Tas Bułak, Centrala, rejon Urdżar, okręg Semipałatyńsk. Pozwolono pisywać, nawet depeszować do Lwowa, z czego liczni korzystali. My jednak nie odważyliśmy się, aby nie narażać rodziny na represje za kontakt z zesłańcami.

Małe osiedle przypominało wieś ulicówkę, z niby placem pomiędzy klubem a pocztą, za którą przycupnęła łaźnia. Daleko na północy widać było

pasma gór Tarbagataj. Wieczorem grupa dziewcząt zainicjowała pieśni malarzowe, śpiewali je lokatorzy klubu. Tubylcy przyglądali się, kiwając głowami. Tak rozpoczął się nasz pobyt na zesłaniu.

### W Tas-Bułaku Centrali czyli w Sigisbaju

„Śliczna gwiazdo miasta Lwowa, Maryjo!” „Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy!” Te pieśni miałam nadal w uszach oprócz uporczywego stukotu pociągu, zanim usnęłam na podłodze, pomiędzy ciocią i mamą. Tato odgradzał mamę od innych. Pokotem zaś cisnęły się Nuckowskie, Marysia i Helenka, moje koleżanki najpierw z gimnazjum nazaretanek, a potem liceum pedagogicznego; tuż obok ich matka z młodszymi córkami, Janką i Lucią. Dalej legowiska rodzin policjantów. Cesia Szakalska, którą opiekowali się Dudkowie, Jaś i Miła, studenci medycy, ich brat, Kazik, szesnastolatek; aresztowani przy łożu konającego rodzica. Sąsiedowali z panią Bokotową, jej synami i z babcią.

Inne osoby rozpoznawało się w kolejności. Pani Nowakowa Anna z Dzunią sześciolletnią i młodszym Jerzykiem. Samotne panie: Korzeniewska, Jaworska, Białkowska, Ostrowska, pani Nowakowa starsza z Danką w moim wieku, Kazikiem i jedenastoletnią Irenką. Dalej pani Schmalowa z Lalą i Marysią, Grześ Bader z matką, pani Kasprzak z Ludwikiem. Rodziny: Espenhanów, Baczyńskich, Czupkiewiczów, Stadnickich. Kilka rodzin żydowskich z drobnymi dziećmi. A potem stadła Tabaczyńskich, Wojciechowskich, Goryluków, Rogala, Mańkowska z pięciorgiem drobiazgu, Sochaccy, Łabęccy. I cała rzesza na środku: Marchutowie, Kijanowskie, Lubuśkowie.

Nie oprzytomnieliśmy ze snu, gdy do sali wtargnęło troje Rosjan i trzech Kazachów. Ogłosili nam listę zakazów i nakazów, przeliczyli nas, sprawdzali wiek i zawód. Ojcu, jako drukarzowi, nakazali pracę od razu, zapewniając, że *rabotajuszczym* przysługuje osiemset gramów chleba dziennie, jeśli chleb jest. Niepracującym zaś dwieście gramów, jeśli starczy. *Kto nie rabotaje, toj nie kuszaje*. Przesłano Polaków do pracy, wszyscy więc będą pracować. Tymczasem Centrala odstąpiła nam klub, a potem będą mieszkania. Na razie brak pracy, ale gdy już będzie, to obowiązkowa.

Po odejściu reprezentantów władz wiele osób zwiedzało wieś. Na drugim jej końcu była spółdzielnia, około półtora kilometra od klubu, za nią szkoła i piekarenka, czynna w zależności od dostaw mąki. W sklepie było parę półek z dziełami Stalina, jakieś obuwie z ubitego filcu (*pimy*), dostępne na specjalne talony i pseudo-herbata *kirpicznyj czaj*. Wobec tego zaczęły się wędrówki po lepiankach w poszukiwaniu żywności, odstępowanej nam głównie za odzież,

rzadziej za gotówkę. W klubie odwiedzali nas tubylcy, starając się dogadać po rosyjsku i po kazachsku, albo na migi. Wszystkiego dotykali, łącznie z odzieżą na nas, cmokając z podziwem. Pani Nuckowska wskazała mamie Rosjanekę, z którą uzgodniła dostawę mleka; ta również obiecała nam litr dziennie. Panie na podwórzu budowały kuchnie polowe i, pouczone przez Kazaczki, uściłowały palić suchym nawozem *kiziakiem*. Ojciec wrócił zadowolony, bo miał pracę w swoim zawodzie.

W klubie udostępniono kuchenkę. Paliło się w niej gałęzmi z krzewów, rosnących trzy kilometry za osiedlem. Pozwolono je łącać. Karczowanie było niedozwolone. Wiązało się chrust sznurkiem i dźwigało na plecach, ile kto uniósł. A potem w kuchence każdy chciał własny opał oszczędzić, a do cudzego dołączyć swój garnek. Mama przeżywała inną biedę. Dotychczas pożyczła garnek od pani Nuckowskiej, z którą się przyjaźniła. Teraz – po przeniesieniu Nuckowskiej z kilkoma rodzinami na pierwszą fermę – musiała pożyczać od innych pań, co ją krępowało. Gotowała rano mleko a na obiad zupę; zwykle kartoflanekę. Czasami mieliśmy chleb dzięki pracy ojca. Zrazu ciasnota doprowadzała do awantur na wspólnej sali. Kiedyś dwie panie tak się pokłóciły o decymetr miejsca, broniąc legowisk, że aż jedna w drugą rzuciła jajkiem, surowym. Jaka strata, mogło uświetnić zacierkę na kilka razy. Wskutek przeniesienia kilkunastu rodzin udostępniono kuchenkę, tam się rozgrywała część awantur. Kilku mężczyzn trafiło do *traktornego parku*, toteż ich żony lub matki jako pierwsze chciały zajmować kuchnię, co rozumiano. Po nich lokowały się tam matki maluchów. Natomiast reszta nie mogła się doczekać. Stąd przesuwanie cudzych garnków, kłótnie, wrzaski.

Międzynarodowe przyjaźnie, kolejki, niemożność utrzymania higieny, to źródła wszawicy. Każdy ranek zaczynał się od przeglądu i czyszczenia odzieży, a gęsty grzebień bywał największym skarbem i jeśli się zjawił w spółdzielni, trzeba było mieć silne łokcie, aby dopomóc szczęściu przy zakupie. Sprzedawaliśmy po trochu skromny zapas odzieży i oszczędzaliśmy każdą połówkę ziemniaka, gdyż ceny rosły, a stan posiadania kurczył się zbyt szybko. Chadzało się po lepiankach, odwiedzało rodziny rosyjskie w ich domach, lecz Rosjanie okazywali się bardziej skąpi od Kazachów. Na szczęście, w odległym o dwadzieścia pięć kilometrów Nowotrojsku – *kołchoz* – można dostać żywność. Tam ludność miała własne działki. Zezwalano nam, póki brak pracy, wybierać się do Nowotrojska. Zaczęły się wędrówki, kupowanie żywności – na zasadach handlu wymiennego – za odzież, pościel i co tylko możliwe. Okazało się, że w tobołkach mieliśmy aż dwa plecaki; prawdziwy skarb i ratu-



nek. Zanim ojciec dostał wolny dzień, dekadówkę, już ktoś pożyczał plecaki, a później informował o warunkach napotykanym w *kolchozie*. Wydały nam się lepsze, niż te w majątku państwowym (*sowchoz*).

Dekadówka zbiegła się z niewielką wypłatą. Wzięliśmy plecaki, torbę na zakupy, po jednej koszuli dziennej od nas trzech i parę woreczków płóciennych; bo już się nauczyliśmy, że nigdzie nie ma opakowań. I jeszcze ten jedyny słoik – o pojemności półtorej kwaterki – w którym przemyciłam różę podczas pakowania we Lwowie. Ruszyliśmy dobrze przed brzaskiem, aby mieć trochę czasu na odpoczynek podczas największego skwaru. Parę godzin polna droga wiodła przez płaski step, przykryty kopułą bezchmurnego nieba. Minęliśmy wieś spaloną w okresie głodu i buntów, zaledwie cztery lata temu, jak nam mówiono. Nagle płaszczyna się urwała i długa, stroma skarpa wiodła ku płaszczynie następnej, gdzie w pewnej odległości rozciągała się wioska. Ostrożnie schodziliśmy po zboczu, pełnym ostrych głązów.

– Zaczniemy od tamtego końca, wskazał ojciec, u Bułgarów można lepiej kupić, mają jarzyny i nawet pieką chleb. – Byli zesańcami z okresu wielkiej wojny, jak to się mówiło o pierwszej wojnie światowej. W którejś z najdalszych chat bułgarskich za jedną koszulę dostaliśmy parę miseczek mąki, za drugą miód. Gdzie indziej trochę kaszy jaglanej, ziemniaki. Mieliśmy dziesięć rubli. Z jednej chaty wyszła Bułgarka i zaproponowała nam chleb, śliczny, biały i wyrośnięty na kwasie, po pięć rubli za bochenek. Ojciec zauważył wielkie liście, suszące się na płocie.

– Tytoń? – zdziwił się.

– *Da, da! Tabak.*

– Za pięć rubli chleb i za pięć rubli tytoń! – Zadecydowała mama, a ja aż gębę rozdziawiłam, zdumiona, bo przecie głodna, od samego Lwowa, a tu takie poświęcenie.

– No, cóż – powiedziała, gdy tato poszedł po tytoń – teraz jedzenia mamy więcej niż kiedykolwiek i to nawet urozmaicone. Po troszku wystarczy do następnej wyprawy. Ale co to taka porcja dla mężczyzny? Przynajmniej sobie czasem papierosem zaćmi ten głód.

Wracaliśmy wolnym i miarowym krokiem pod tę okropną górę. Już się przestałam gorszyć, że ją nasze panie nazwały Golgotą. Mamie i mnie ojciec nie pozwolił dźwigać więcej niż wiaderko ziemniaków, co liczono jako pół puda, czyli osiem kilo. Byliśmy po posiłku: kubek mleka i lepioszka (placek z wody i mąki, pieczony na blasze kuchennej), a mimo to owe ciężary przerastały nasze siły. Kręta dróżka wiodła zakosami, nogi ślizgały się na żwirze do tyłu, głazy raniły. Żeby chociaż nie tak stromo. Wreszcie doszliśmy do szczytu, usiedli i odłożyli ciężary.

– Najgorsze za nami. – Tato nadrabiał miną, a ja, ogłupiała z wysiłku, ze strachem myślałam o pozostałych, około dwudziestu dwóch, kilometrach do pokonania. A jak mama podoła, taka słaba?

Dowlekleśmy się, by od razu paść na swe miejsca na ziemi. Ciocia podała mleko i pokroiła pyszny chleb. Mama odchorowywała wszystkie wyprawy; na szczęście kupiona mąka lub kasza starczała dłużej, niż ziemniaki. Również ja każdą wyprawę opłacałam bolesnymi krwotokami, które w naszych warunkach były nieszczęściem. A jednak możność zaprowiantowania się w Nowotrojsku była naszym ratunkiem, jak się później o tym przekonaliśmy.

\* \* \*

Funkcjonariuszy miejscowych władz – *preciedatel, uprawlajuszczy, paliwod* – ogarnęliśmy wspólną nazwą: dygnitarze. Ich zjawienie się wczesnym rankiem, nie zwiastowało niczego dobrego. Tym razem nas zaskoczyli.

– Możecie, kto chce, przenieść się do miasta rejonowego, Urdżaru.

– A czy tam jest lepiej, *łutsze*?

– Gorzej już nie może być! – Pani Mańkowska owijała się płaszczem, bo przed chwilą ktoś nabył jej sukienkę, wprost z modelu żywego. – Biorę dzieci i jadę; odezwała się, otoczona pięciorgiem zakatarzonego drobiazgu.

Zgłosiło się jeszcze kilka innych rodzin, w tym żydowskie. Tymczasem dygnitarze zapowiedzieli, że ogłoszą komunikat także na fermach, by na drugi dzień przygotować woły do zaprzęgu. W klubie wrzało od emocji i domysłów na temat dobrowolnych decyzji i skutków. Bracia Sochaccy aż się poróżnili, Jóźko nabił czajnikiem guza Bolkowi, matka rozdzielala walczących pro-wizoryczną miotłą z gałązek piołunu. Bokotowie z zachwytem opowiadali Kaziowi Dudkowi o wojnie na czajnik i miotłę, serdecznie współczując, że nieobecność pozbawiła go widoku tak niezwykłego.

\* \* \*

– Ałma Ata przekazuje depeze ze Lwowa! Przybiegli Bokociaki z wiadomością. Kto żyw pędził na pocztę. W kuchni poodsuwano garnki na gliniany brzeg, blacha została wolna.

– Żeby tylko ogień nie wygasł, strasznie źle się dziś rozpałało; martwiła się pani Aniela, wychodząc ostatnia.

– Ja dopilnuję; ucieszyła się mama, niosąc pożyczony garnek na zupę. – Do nas nikt nie mógł napisać, bo nie posłaliśmy nikomu adresu. Może myślą, że już nie żyjemy. Rozzaliła się.

Dołączyłam do grupy. Kierownik poczty, Mielnikow odbierał depesze, z którymi listonosz Misza wychodził przed budynek – nie wpuszczano hałaśliwego tłumy – i czytał nazwisko adresata oraz treść depeszy. Przeważnie zapowiadały pieniądze albo paczki. Telegraficznie nadesłane pieniądze wypłacano, póki kasa miała zapas. Innym obiecano nazajutrz i dotrzymano słowa. Jedna z depez zawierała złą wiadomość. Zmarł ojciec rodzeństwa Dudków w tym dniu, gdy ich zabrano. Pocieszała ich myśl, że ubłagali zostawienie matki; była przy mężu do końca i ominęło ją zesłanie. Ogólny nastrój wśród Polaków uległ poprawie. Już był kontakt nawiązany. Niektórym pomoc nadeszła, inni mogli jej oczekiwać, mogli mieć nadzieję. To bardzo dużo znaczy. Po nardzie i my zdecydowaliśmy się wysłać do babci telegram z prośbą o pieniądze i paczki, jako że przy opuszczaniu mieszkania pytani, komu przekazujemy nasze meble i rzeczy, podaliśmy właśnie babcię, sądząc słusznie, że staruszki po osiemdziesiątce nie wezmą. Sensacyjna wiadomość o pieniądzech Polaków obiegła *sowchoz* z przyległościami i ceny skoczyły. Tak więc ratunek dla jednych, stanowił klęskę dla drugich; którzy dotąd nie mieli pieniędzy. Było nam bardzo ciężko.

\* \* \*

Rozpoczęła się prawdziwa batalia werbunkowa na sianokosy.

– *Dawaj, sobierajsia! Dawaj w rabotu! Dawaj, vychadi!* – Brzmiały codzienne pobudki, dobrze przed brzaskiem.

– Niczego nie dają i nigdzie nie wychodzę. – Wrzasnął jakiś zirytowany głos, a pobudzone przedwcześnie dzieci zaczęły płakać.

– Wstawajcie, darmozjady! Do roboty! Na co wy nam tutaj?

– A, to nas odeślijcie do Lwowa, do domu! Darmo to wy nam poodbierali wszystko. A my tu za wszystko płacimy. Za każdy kęs.

– To my wystosujemy na was raport. Nie chcecie pracować.

– A my napiszemy do Stalina, że nas gnębicie.

I takie ranne, co dzień, pobudki i miłe rozmowy weszły w nawyk. W końcu jednak wymusiliśmy ustępstwa. Pozwolono każdej rodzinie, aby jedna z osób – *domochazajka* – prowadziła, pozał się Boże, gospodarstwo domowe. Reszta, w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu pięciu (kobiety) i mężczyźni do sześćdziesięciu lat, musiała się zdecydować pod groźbą wstrzymania racji chleba. Zdarzał się, co prawda, chleb gliniasty bądź też piaszczysty, ale bez niego byłoby ciężko; tym bardziej po zdarzeniu z Marylką.

Po chleb do spółdzielni biegło się na wiadomość o dostarczeniu go przez piekarza. Czasem robił to kilka razy na dzień, czasem zaopatrywał sklep jedynym rzutem. Nigdy nie starczyło wszystkim, więc się pchano; szczególnie Polakom trudno było dostać, gdyż propaganda głosiła, że burzujom i darmozjadom chleb się nie należy. Marylka Fiszer, stojąc w beznadziejnej kolejce po chleb, umykający jej sprzed nosa któryś raz, skrzyczała Rosjanke, odpychając ją w decydującym momencie od lady.

– Łaski nam nie robicie, tak samo płacimy jak i wy. Nie prosiliśmy, by nas tu przywozić. Mogliśmy zostać u siebie. U nas pies miał lepiej, niż tutaj mają ludzie.

Straszne, gdyby ktoś tylko złożył niepotwierdzone doniesienie („donos”), to już groźnie obciążyłby. A co dopiero przy tylu świadkach, obrażonych na młoda i śliczną Polkę.

– „*Wróg Sowieckiego Sojuza! Bitoruczka! Gardzi ludem roboczym!*”

Zawiadomiono milicję w Urdzarze, która przyjechała aresztować Marylkę w nocy. Obserwowaliśmy rozpacz jej rodziców, zesłanych tutaj razem, za syna, studenta medycyny, uwięzionego w 1939 roku. Zarzucano mu trockizm, tępiony bardziej od nacjonalizmu. Marylkę skazano na trzy lata łagru, co nam ogłoszono z triumfem.

\* \* \*

Na sianokosy rozsyłano brygady robocze z każdej fermy, głęboko w rozległy step. Czasowo zatrzymywały się one do wykonania swych prac w określonym miejscu, a potem koczowały gdzie indziej, aż do skutku. Z traktorami wyruszali robotnicy do ręcznego kopiczkowania i nie wracali na noc do ferm, bo stawały się coraz bardziej odległe. Robocza brygada w Centrali, chadziajska, pracowała według innych zasad. Nocowaliśmy na miejscu, w klubie, skąd co dzień o brzasku wyprowadzano nas na określony teren dokoła osady, w promieniu czterech kilometrów. Wyżywienie było naszą sprawą prywatną, mogliśmy zabierać ze sobą żywność na cały dzień, albo nie jeść wcale, bo żadnej dostawy, ani kuchni tam nie było. Robota kończyła się dopiero z zapadnięciem zmroku i wtedy ruszaliśmy z powrotem do „domu”. Na brygadach stepowych obowiązywało każdorazowo płacenie za wyżywienie, u nas ten problem nie istniał. Pierwszego dnia, gdy o brzasku goniono nas do pracy, miałam strasznego pecha o dalekosiężnych skutkach. Z powodu biegunki spóźniłam się na rozdawanie narzędzi. Brygadzysta Gałysz skrzyczał mnie bardzo i wręczył połamane widły, na których widok wszyscy parsknęli śmiechem.

– Dajcie mi całe! Jak takimi można pracować? – Pokazywałam widły o dwu, skrajnych, zębach całych, środkowym złamanym w połowie i czwartym brakującym. No, jak?

– Dobrze ci tak! Spóźniłeś się. I otworzył szope, gdzie innych narzędzi nie było. Współtowarzysze ruszyli w drogę, powlokłam się też, rozżalona, że nikt nie stanął w mojej obronie ani słowem. Nieludzka harowa. Musiałam uwijać się jak szalona, aby dorównać innym. Gałysz krzyczał, abym nie obniżała normy. Noc przemęczyłam, obolała od stóp do głów i nazajutrz pierwsza pogalopowałam pod narzędziownię. Nic z tego. Brygadzysta przypisał mnie do połamańców. Zrozpaczona, darłam się, że chcę widły całe.

– Oto marzenia współczesnej pannicy: widły. – Żartował któryś z młodych panów, co skwitowano śmiechem, zapewne we własnym sumieniu rozgrzeszając się z niewrażliwości na cudzą krzywdę.

– To niesprawiedliwe. Niech co dzień kto inny nimi pracuje!

– Ale to ty się spóźniłaś, a nie kto inny! – Wrzasnął a inni już odeszli, z własnej pilności. Do końca pracy w tej brygadzie otrzymywałam połamane widły. Przestałam się wściekać, nosiłam w sobie poczucie krzywdy i obserwowałam obojętność ze strony współtowarzyszy pracy. To walka o byt, myślałam.

\* \* \*

Mama odwiedzała lepianki Kazachów, prowadząc handel wymienny. W ten sposób kupowała trochę jagieł, czasem ziemniaki; starała się, aby co dzień możliwa była dla rodziny zupa. Chleb trafiał się jej rzadko, nie miała sił, aby się pchać w sklepie. Kiedyś zaszła do Rosjanki, u której wcześniej kupiła kaszę. Staruszka rozgadała się po ukraińsku. W Kazachstanie znalazła się sześć lat temu, z masą ludności wysiedlonej za bunt na Ukrainie, oburzonej na rewizycje, nadanej po rewolucji, ziemi i przymusową kolektywizację. Obfite zbiory płodów rolnych odbierano ludziom siłą, zabijając opornych i wywożąc całe osiedla. Żyźne ziemie marnowano. Kazachstan nie był w stanie wykarmić tubylców i zesłańców. Bunt objęły rozległe regiony. Sowieckie wojsko prowadziło pacyfikację. Płonęły wsie, ginęła ludność, jak podczas rewolucji. Pacyfikatorzy nagradzali dzieci, które donosiły władzom na rodziców. Mordowali rodziców, a wyrodne dzieci uznawali za bohaterów, kochających ojczyznę proletariacką. Ludzie więc uchodzili w niedostępne góry, gdzie nawet brakło trawy do jedzenia. Zdarzało się, że matki uśmiercały po kryjomu swe dzieci młodsze, ażeby mogły starsze wykarmić i utrzymać przy życiu.

Mama twierdziła z płaczem, że staruszka chciała ją ostrzec. Usiadłszy na

progu, staruszka obserwowała, czy ktoś nie nadchodzi. Bała się swego jedyne- go syna, który jej pozostał po utracie kilkorga dzieci. Prosiła o obrazek święty, albo o dwa, bo z inną staruszką obiecały sobie nawzajem wsunąć potajemnie za śmiertelną koszulę, oczywiście tak, aby się nikt nie dowiedział, nawet syn. A kiedy on nadszedł, wtedy *babuszka* zaczęła przed mamą wychwalać władzę sowiecką i najlepszego syna. Tak, mniej więcej, mogło wyglądać życie każdej rodziny w tym ustroju. A tymczasem kopiczkowanie siana dobiegło końca i zaczęliśmy je gromadzić i budować olbrzymie sterty. To była ciężka praca, pełna kurzu, który wdierał się do płuc. Kiedyś przyjechał fotograf i musieliśmy płacić po pięć rubli za zdjęcia do paszportów.

\* \* \*

Gdy nasza brygada skończyła pracę w obrębie Sigizbaju, porozszyłano nas na inne fermy. Tym razem dopatrzono się, że Ela Wojciechowska ukończyła osiemnaście lat w czerwcu, ją też obowiązywał nakaz pracy. Obie zostałyśmy odesłane do pierwszej fermy Dżyldykara, była dość odległa od siedziby, toteż samej osady nawet nie widziałam. O warunkach pracy już wiedziałyśmy dość dużo, także o konieczności płacenia za stołówkę, rodzice dali więc nam trochę pieniędzy i po dwa podpłomyki na drogę. Obiecałam sobie, że przede wszystkim dopilnuję, abym dostała porządne widły; przydzielono nas na grabie przy traktorze. Niestety, ten sam powód przyczynił się do mego spóźnienia. Znowu przygalopowałam ostatnia. Tym razem spośród pięciu osób akurat mnie się dostało siodło bez oparcia.

– *Niczewo*. Odpadło. Skąd ja ci wezmę inne? – Dziwił się traktorzysta. Musiałam się po prostu trzymać rękami siodełka.

Traktorzysta i pomocnik chcieli przekraczać normy, zrywali więc nas o trzeciej nad ranem, gdy kuchnia rozdawała wrzątek. Potem bieg na grabie. Według komendy cisnęłyśmy stopami pedał a grabie zostawiały równe rzędy siana za nami. „Raz, dwa!” – Tak cały dzień. Około pierwszej w południe podjeżdżaliśmy pod kuchnię połową, zwykle wtedy, gdy już inni kończyli jeść, aby nie tracić czasu na czekanie. Kucharka wydawała zupę do kubków półlitrowych. Była to baranina gotowana w osolonej wodzie, wzbogacona kawałkiem flaka z kością albo na patyku, aby można było trzymać. Ziemniaki już się wykończyły, mąki też nie było. Za ten obiad trzeba było płacić od razu. Na kolację dawano bezpłatny wrzątek, na który wcale nas traktorzysta nie zwalniał z roboty. Jeśli zdarzyło się, że dowieziono chleb, wszyscy mieli prawo do kupienia osmiuset gramów.

Traktor pracował do północy dzięki naftowej latarni wiszącej obok kierowcy, który wypoczywał na zmianę z pomocnikiem. Nam zostawało niewiele czasu do nabrania sił, toteż, kiedy podjeżdżał beczkowóz, zsuwałyśmy się ze swych siodełek, by usnąć na chwilę. Za pierwszym razem na widok wody rzuciłyśmy się do niej, lecz zostałyśmy skutecznie odpędzone. Napoiwszy traktor jego pan a nasz władca krzykiem i kopniakiem przerywał nam drzemkę, gnając do roboty. Tak się działo kilka razy dziennie. Wieczorem nieprzytomnie zmęczone, lepkie od potu, czarne od kurzu, biegłyśmy do strumyka, jakieś pół kilometra, aby się wykąpać, zanim można będzie rzucić się na swą wiązkę siana, w szafasie z gałęzi. My, dziewczęta, sypiałyśmy pośrodku. Nasi koledzy – jako bariera – na skraju, aby uniknąć powtórki gorzkich doświadczeń z Kazachami, którzy się upili kumysem na początku sianokosów.

Upał sięgał pięćdziesięciu stopni. Nosiło się więc na głowach chustki albo czapki. W czasie wielkiego deszczu wolno nam było spać w przyczepce – narzędziowni. Kiedy jednak po takim noclegu Jurek zabił sto dwadzieścia wszy, przestaliśmy korzystać z przyczepki.

Sierpień prażył bez miłosierdzia. Praca wysysała resztki sił. Pieniądze się skończyły, odmówiono nam „obiadowej zupy”. Usiłowałyśmy zatem wyjaśnić, że skoro traktorzysta i pomocnik otrzymują premię za przekroczenie normy, to myśmy powinny być opłacane podwójnie. Wszak oni pracują na zmianę, gdy my bez przerwy.

– Co wy się równacie z traktorzystą! Stawka na grabiach jest inna i w dodatku dzieli się na was pięcioro. Jeszcze nikt z Polaków nie zrobił tu tyle, żeby pokryć wyżywienie. Co to za robotnicy.

– W takim razie, skoro nasza praca nic nie jest warta, obejdziecie się bez niej. Nie jadłyśmy od wczoraj, dzisiaj pracowałyśmy już prawie dziesięć godzin. Nie mamy siły. Idziemy do domu.

Nasze koleżanki, obie Nuckowskie, Wandzia Lubuska i cała reszta głośno świadczyła, że nie kłamiemy.

– To sobie pożyczcie pieniądze, wiemy, ile Polacy mają. Zakrzyczano nas, choć tłumaczyłyśmy, że przecież nie będziemy mogły oddać. Traktorzysta ogłosił koniec przerwy i pożegnałyśmy wystraszone koleżanki, zdecydowane odejść mimo gróźb władców.

Słońce lało się nam bezlitośnie na skołatane głowy. Poranione i nabrzmiąte ropniakami nogi coraz gorzej niosły nas przez szeroki step. Nie mówiłyśmy o świdrującym bólu głowy, bo nie było rady ani na głód, ani na przegrzanie. Chyba po dwóch godzinach marszu zaczęłyśmy wypatrywać mijanej tam kie-

dyś sadzawki. W oczach robiło się już jasno i ciemno na przemian. Nogi drżały, usta popękały i wyschły, spuchnięty język bolał. Bałyśmy się usiąść na spoczynek, aby nie usnąć i nie pozostać na noc w stepie. Gdy ukazało nam się dość znaczne obniżenie gruntu, z radością, że to sadzawka, pośpieszyłyśmy w tamtą stronę. Poniżej gładkich połączeń spękanego, wyschniętego mułu, daleko od brzegu, zobaczyłyśmy burą, pół gęstą ciecz. Piłyśmy i ochlapywałyśmy się; mokra. Po kilku następnych kilometrach Ela spostrzegła jeźdźca na koniu. Kazach *uprawlajuszczy*, najwyższa miejscowa władza. Skrzyczał nas, kazał wrócić do pracy, groził sądem za *proguł* (przestępstwo). Do Centrali zostały nam dwa kilometry. Powłokłyśmy się do domu.

Nasze matki nie miały placków, czy pieniędzy, aby nam podać w step, ale miały zupę ze szczawiu, którą zdołałyśmy wypić, zanim padłyśmy z wyczerpania.

Nasi rodzice poważnie traktowali pogroźki. Na drugi dzień za ich radą powłokłyśmy się do szpitala, gdzie dano nam maść ichtiolową na te okropne ropniaki. Lekarz, uprzedzony przez Milę, którą tam przyjął do pracy jako pielęgniarkę (czwarty rok medycyny) i liczył się z nią, dał nam zwolnienie z pracy na trzy dni. Leczyłyśmy nogi, mama przeznaczyła ściereczkę na opatrunki.

Władcy szaleli, lecz zaświadczenia lekarskie respektowali. Chciałyśmy je przedłużyć, ale lekarzowi nie było wolno. Miła poradziła nam zgłosić się w biurze do jakiejś pracy na miejscu, bo wszystkie najważniejsze władze wyruszyły w step. Urzędnik pozwolił nam robić porządek wokół biura. Na drugi dzień dostałyśmy znów zwolnienie z pracy na trzy dni, z zastrzeżeniem, że na tym koniec. Potem Elę zatrudniono w narzędziowni, a mnie z Kazikiem Nowakiem w magazynie. We dwoje musieliśmy napełniać dużą przyczepę pszenicą, pełnymi wiadrami, liczonymi, napełnianymi ze stosu na ziemi. Przyczepę, niestety wysoką, traktorzysta odwoził do innego magazynu, gdzie dorodne ziarna zsypywaliśmy na ziemię, już z łatwością. Wieczorem, na ostatniej turze, Kazik z uznaniem odniósł się do czterech kieszeni mego harcerskiego mundurka, który chętnie nosiłam do pracy, choćby ze względu na rękawy do podwijania.

– Nabieraj teraz pszenicę do kieszeni! Taka okazja może się już nie powtórzyć. Tobie to dobrze, ja nie mam żadnej kieszeni.

– Żartujesz? To przecież kradzież.

– No, wiesz! A oni nam nie ukradli naszej ojczyzny i mienia? Ta pszenica należy do państwa, *kazionna* i my też.

– Wiesz co? Nabiorę, ale nie dla nas, tylko dla was. To już nie będzie grzech,

tylko dobry uczynek; zdecydowałam, pęczniejąc z dumy, chwalona przez młodszego kolegę, który się nie mógł nadziwić.

Tak pracowaliśmy przez trzy dni, lecz Kazik napełniał pszenicą worki, które Irenka, zrzucając w odpowiednim miejscu, zabierała do domu. Mnie ani do głowy nie przyszło wspomnieć mamie cokolwiek na ten temat, bo zawsze uczyła nas, że „cudza własność, to rzecz święta”, więc się żenowałam, pomimo tego naszego straszego biedowania. Nie przyszło mi na myśl, że jeśli nawet sama nie chciałam jeść kradzionego, to przecież mogłam im, głodującym, tego nie odmówić.

Pod koniec sierpnia główny dygnitarz zapowiedział rychły przyjazd zwierzchników z Urdżaru na sąd nad nami. Mama popłakiwała, ciocia, zdenierwowana, zrobiła sobie skręta z tytoniu wzbogaconego jakimś ziołem, i z gazety; co stanowiło luksus oszczędnie szafowany. Natomiast ojciec, idąc po gałęzie na opał, zapowiedział, że coś wymyśli. I rzeczywiście wymyślił. – Pójdźcie jutro zapisać się do szkoły! – Poszłam sama, gdyż Ela się rozchorowała, miała gorączkę, a to się liczyło. Dostała zwolnienie.

Oznajmiłam kierownikowi, że wydano nam paszporty na pięcioletni pobyt, dlatego chcę zapisać się do szkoły, aby się uczyć języków: rosyjskiego i kazachskiego, co uważam za mój obowiązek. Zaskoczony, odbył naradę z nauczycielką i nauczycielem. Musiałam się przyznać do swych osiemnastu lat, ale nie zdradziłam się, że byłam już w pierwszej klasie licealnej, po czteroletnim gimnazjum. Udałam, że nie umiem wytłumaczyć, bo tam u nas był inny system nauczania. Zakwalifikowano mnie do piątej klasy, rosyjskiej, od niej zaczynała się nauka kazachskiego; a w piątej kazachskiej nauka rosyjskiego. Wracając do domu, uszczęśliwiona, napotkanym maluchom robiłam „żabkę” ze złożonych rąk i demonstrowałam strzelanie palcami, co je zawsze zachwycało. Lubiłam dzieci, a te były biedne, głodne, bose, brudne i zaniedbane. Na szczęście, nie znały innego życia, nie wiedziały więc, jak bardzo są nieszczęśliwe.

\* \* \*

Nowy rok nauki obie szkoły, rosyjska i kazachska, mieszczące się w jednym budynku, zaczynały uroczyście, zebrane na podwórzu. Lekcje odbywały się na dwie zmiany, kolejno przestrzegane raz przez przyznanie wcześniejszej, raz późniejszej pory każdej z tych szkół. Moja klasa chodziła na pierwszą zmianę w tym roku. Mieściła się w niedużej izbie lekcyjnej, o dwóch oknach (z małym otwieranym lufcikiem), stały tam dwa szeregi czteroosobowych

ławek naprzeciw nauczycielskiego stołu, nad nim wisały portrety Stalina i Woroszyłowa, a między nimi czarno biała fotografia herbu ZSRR. Tablica czarna, na niej podwójne linie, poziome i ukośne, jako że tamtejsza kaligrafia wymagała pisania liter pochyło pod jednym kątem.

Zoja Skokowa zaprosiła mnie do swojej ławki, po dziewczęcej stronie. Usiadłam obok niej, Marusi i Klaudii, przerośnięta w gronie dwunastolatek i wzbudzająca sensację, która mnie raczej bawiła. Wychowawczyni Lena, ogłosiła plan lekcji i koszt podręczników oraz zeszytów rozdanych uczniom, za co na drugi dzień należało przynieść pieniądze. Pouczyła też, że wszystko trzeba koniecznie obłożyć gazetą i podpisać, co sama sprawdzi. Matematyk martwił się, czy podołam rachunkom, bo mają już mnożenie liczb trzycyfrowych przez trzycyfrowe. Kazachskiego nauczał Kazach powszechnie nie lubiany, od kiedy kupił sobie gdzieś w mieście jedwabną koszulę granatową, z bardzo licznymi białymi guziczkami, czego mu szczerze zazdrozczono; uważano, że to go wbiło w nadmierną pychę.

Gdy na drugi dzień wyjęłam książki i zeszyty z chlebaczka, dziewczynki narobiły tyle szumu, że aż chłopcy po ławkach pośpieszyli ze swego rewiru, zobaczyć, co się dzieje. Zoja, machając moim zeszytem, wzywała nauczycielkę. – Wynalazek! Patrzcie, wynalazek! Wezwana podeszła zaciekawiona. Wzięła z rąk Zojki mój zeszyt, na którego okładce gazetowej przykleiłam domoroślą etykietkę, wyciętą z kratkowanej kartki zeszytu, obramowaną obwódka i podpisaną atramentem, zrobionym z kopiowego ołówka i gorącej wody.

– Jakie fajne! A jak to przykleiłaś? Pytała zdziwiona.

– Klejem z wody i mąki.

– Nie trzyma. – Zapewniła i chłopcy krzyczeli, że bujam.

– Z wody i mąki zagotowanej. Trzeba cały czas mieszać. – Dziwiłam się teraz ja, że tego nie wiedzą i musiałam tłumaczyć dokładniej. Dzieci podpisywały swe zeszyty wprost na gazetowym druku, czego ja nie wymyśliłabym wcale. Dziewczynki zapowiedziały swe wizyty w klubie, abym im też porobiła takie etykietki. Na szczęście przyznałam się do zwrotu pożyczonych nożyczek i obiecałam przykleić tyle, na ile starczy mi kleju, więc niektórzy przyniosły po odrobinie mąki. Potem cała klasa chodziła w glorii wynalazku, aż najstarsi, z siódmej, przychodzili osobiście oglądać i upewniali się, że taki klej trzyma.

Dzieci zachowywały się swobodnie wobec nauczycieli, traktowanych za pan brat. Lekcje były hałaśliwe, chłopcy co chwila wyskakiwali z ławek, biegali.

Kaligrafia stanowiła przedmiot, do którego były specjalne zeszyty w linie i tablica. Lena tłumaczyła, że jak już ktoś umie pisać, to ma pisać tak porządnie. Utrwaliła parę wyrazów na tablicy z zaleceniem odwzorowania każdego w kilku liniijkach.

– Napiszcie mi na wzór jeden wyraz w zeszycie; poprosił jeden uczeń.

– I mnie, i mnie! – Zrywali się inni.

– Cicho! Napiszę każdemu, kto siedzi na swoim miejscu z zamkniętymi ustami; ogłosiła i poskutkowało.

– Marusia zajrzała do mojego zeszytu. – Napisz mi też, na wzór!

Kaligrafowałam wzory dziewczynom, Lena chłopakom, w takiej ciszy, że aż kierownik szkoły zajrzał, co się stało.

– Siemion Siemionowicz, czy wiecie, że mamy kredki? Sześć kolorów!

– Witali uczniowie nauczyciela rysunków.

– *No, ładno!* – Ucieszył się. – A to mamy dzisiaj w programie rysować jabłko. Rysujemy jabłko! – oznajmił.

– *A czto eto takoje?* My nie widzieli. Owoc? Jak dynia i arbuz?

– A może Polki widziały? – Polki, bo już byliśmy dwie, gdyż dołączyła do mnie Irenka Nowak, jedenastoletnia.

Zaczęłyśmy rysować w swych zeszytach, gdy reszta targowała się zawzięcie, aż któryś, z mutacją, huknął basem:

– Siemion Siemionowicz! *Czy wy zduryli?* Jak rysować, jak my nigdy nie widzieli? No, jak? – Zakończył piskliwie, z aplauzem klasy.

Nauczyciel przystanął przy nas. Cieniowałam swe jabłko fioletem, na to nakładałam czerwień, z drugiej strony było zielone, co tłumaczyłam Zojce. Obok dorysowałam przekroje, podłużny i poprzeczny.

– Jak żywe! Takie jest całe, a to przekrojone tędy i tędy! – Demonstrował nauczyciel klasie. – Macie na zadanie domowe narysować jabłko. Już teraz wiecie, jakie to jest. I wyszedł z klasy z dzwonkiem i z dwoma zeszytami Polek. Po lekcjach kierownik nas zatrzymał. – Macie zostać na zebraniu samorządu uczniowskiego. Bardzo ważne.

Po wyborze delegatów klasowych kierownik prosił o udzielenie głosu nauczycielowi rysunków, a ten wniosował założenie szkolnej gazetki ściennej, ilustrowanej przez uczniów i późniejsze wysłanie jej na międzyszkolny konkurs. Wniosek przyjęto z zapalem, a dwie polskie uczennice mianowano ilustratorkami gazetek. Nagrodzono nas brawami.

W domu odrabiałam prace domowe, w tym dwadzieścia kilka jabłek, rysowanych w tyłu zeszytach. Potem tak samo było z różami.

Kiedy nauczyciel ogłosił, że „w programie stoi rysowanie szafy”, już cała klasa wykrzykiwała.

– A co to takiego?

– No, szafa, to jest mebel. Stoi pod ścianą. Jest z drzewa. I do szafy wieszają się ubrania.

– Oj-ba-joj! A to w czym chodzić? Na golasa? – Zmartwił się któryś i było wesoło, co nie zwolniło mnie z rysowania szaf we wszystkich zeszytach.

Gazetka ścienna stała się oczkiem w głowie całej szkoły. Poeta z siódmej klasy machnął satyrę na siódmoklasistę Grizkę, który jako jeden z pięciorga na całą szkołę otrzymał buciki, gdyż mieszkał na pierwszej fermie i faktycznie trudno było mu tych osiem kilometrów w jedną stronę chodzić bez butów przez okrągły rok. Niewdzięcznik wkrótce potem chodził w przeciwnym kierunku, nad rzeczką, gdzie udawało mu się łowić ryby, jako najstarszemu z licznej dzieciarni, stale głodnej. Do tej poezji miałam wykonać ilustrację, a ta wprawiła w zachwyt przede wszystkim Grizkę, który chciał gazetkę zabrać do domu, aby tam pokazać. Ledwie zdołano go przekonać, że to będzie wysłane na konkurs do samego Semipałatyńska. Mnie poklepał z uznaniem zanim odskoczyłam. – No, Polka, skąd ty wiedziała, jak ja wyglądam? Nie obraził się za zawadiacki nos, żółtą czuprynę, ale był dumny, najbardziej z butów promieniejących blaskiem, jak na reklamie pasty. A ja cieszyłam się swoim chodzeniem do szkoły, które, jak się okazało, istotnie uchroniło mnie od sądu. Przy okazji Eli też się upiekło.

\* \* \*

Młodego drukarza zagoniono najpierw na sianokosy, potem na żniwa, a mego tata do pomocy przy przeróbce owczarni na kwatery dla Polaków; podawał cegły budowniczemu. Cegły, gliniane, niewypalone, suszone na słońcu, były bardzo ciężkie, tato zaś słaby. Jedna spadła z wysoka mu na nogę i boleśnie zraniła paluch. Ledwie dokuśtykał do lekarza, a potem do domu. Lecząc nogę musiał chodzić do pracy.

Stajnia owcza, którą nam przeznaczono na przyszłe lokum, była długim, glinianym barakiem o jednym wejściu. To wejście zamurowano. Zrobiono pięć kwater, do których wiodły teraz osobne wejścia. Każda z kwater miała trzy pomieszczenia: mały korytarzyk środkowy przypominał sień, po obu jego stronach izby mieszkalne, oddzielone wewnętrznym murem i drzwiami. W każdej izbie małe okienko z szybą wlepioną gliną wprost do muru. Drzwi wewnętrzne nie miały klamek, ani skobli, a kuchenka ani płyty, ani popielnika. Dużo było obowiązków przy tej przeróbce i tato wracał zmęczony. Nie

możliśmy się jednak doczekać mieszkańców, a władze śpieszyły się z wyprowadzeniem nas z klubu, gdzie miał się odbywać kurs traktorzystów.

Miesiąc później do wielu rodzin – również do naszej – zaczęły nadchodzić wiadomości ze Lwowa. Pierwsze do nas dotarły pieniądze, telegraficznie wysłane przez Leona, pięćset rubli za nasz fortepian, który sprzedała ciocia Jula. Okazały się ratunkiem, choć ceny teraz bardzo skoczyły. Rodzice poszli do Nowotrojska na zakupy. Nie obyło się bez kłopotów. W powrotnej drodze mama zgubiła jeden słupkowy obcas. Toteż dwadzieścia kilka kilometrów, niosąc ciężki plecak, kuśtykała na drugim obcasie, którego nie udało się wyłamać. Wróciła splekana i udręczona.

Potem nadeszły listy z zapowiedzią paczki, wreszcie paczka; pierwsza. Radość, bo pamiętają, chcą pomóc, ratują. Niecierpliwie wypruwamy nici z płótna ochronnego. Wszystko się nam przyda, niczego tutaj nie można kupić. Cieszymy się, że jest skrzynka; będzie półteczką. Chroni naczynie, o które mama prosiła. Ojciec wydłubuje scyzorykiem gwoździe, aby nie uszkodzić. Garnki są w ściereczce; i ona się przyda.

– O, banieczka! Będzie na mleko. A czajnik nie mój – martwi się mama – pewnie Jula wybrała go do paczki, gdyż lekki, aluminiowy. A tę rynkę lubiłam na mięso. I talerz blaszany, może być za pokrywkę. I ryneczka czerwona.

- Dozwolona waga, osiem kilo. Skrzynka także ważyła; rzekł tato.
- Bogu dzięki, odtąd mama nie musi pożyczać, może gotować.
- Tak, tylko, że dzisiaj nie mam co.
- Następna paczka będzie z kaszą i inną żywnością.
- Jak Bozia da doczekać; westchnęła.

O ile listy podtrzymywały na duchu, o tyle paczki stały się materialnym ratunkiem, bez którego trudno byłoby przeżyć ten okres.

W jakiejś paczce, przygotowanej z naszych rzeczy przez Lolka, znalazła się sukienka Wandzi. Ciocia orzekła, że nie uda się jej sprzedać, za mała dla tutejszych mieszkanki. Wandzia jest drobna.

– Wcale bym jej nie sprzedała. Zatrzymamy dla Wandy, gdy do nas dołączy, przyda się jej ciepła sukienka.

- Dla więźniów mają łagry, a nie „wolną zsyłkę”; przypomniała ciocia.
- Co ty mówisz? – wystraszyła się mama – przecież wniesiono apelację, chyba nie grozi im Sybir? Adam zdążył zapłacić adwokatowi.
- Im trudno ufać. Ale żeby tutaj Wanda? – Zastanawiała się ciocia.
- Będzie z nami. Wiem. To przecucie, pewność. – Chciałam znaleźć jakiś mądrzejszy argument, lecz widząc miny obu, zrezygnowałam, zasmucona, że posądzają mnie o bzika.

To wydarzenie nastąpiło w dzień trzydziestej rocznicy ślubu rodziców. Skromni, nigdy rocznic ślubu nie celebrowali, lecz ja uczciłam tę wystrójniem się w Wandziną sukienkę – za krótką, ale nie za ciasną – i wyrwaniem się do spółdzielni tak wcześnie, że udało mi się zdobyć porcję chleba. Zaraz po śniadaniu ogłoszono przeprowadzkę. Wiedzieliśmy, kto z kim będzie dzielił wspólne lokum, a wskutek odesłania niedawno kilku rodzin na czwartą fermę, do obu chutorów, Górnego i Dolnego, na jedną izbę przypadało około jedenastu osób. Mama już dawniej umówiła się z panią Wojciechowską. Jej rodzina, tak jak my, niewiele zdołała z domu zabrać. Na czworo mieli dwie walizki odzieży i parę garnków oraz jakieś okrycia. Nędza. Do nas też dołączyły Maryla Antonow i Marysia Nuckowska, które zapisały się na kurs traktorzystów, organizowany w klubie zaraz po wyprowadzeniu stamtąd Polaków. Ciocia Iza zaprzyjaźniła się z Drufirami, z nimi zamieszkała, oprócz kilku innych samotnych, starszych pań. Przed przeprowadzką, zgodnie z poleceniem, ściany i polepy wymalowaliśmy gliną. Pan Wojciechowski gdzieś na złomowisku przy zakładach naprawczych wygrzebał kawałki blach, z których ułożył niby płytę kuchenną, nie dopuściwszy murarza do zamurowania kuchni od wierzchu. Komin – rura blaszana wprost od paleniska – sterczał nad dachem, który ogarniał tył baraku, osłaniając również ścianę niższą. Komin zatykało się po wygaśnięciu ognia, z zewnątrz, co zwykle robiła Ela, jako najłżejsza.

Otrzymaliśmy kwaterę przy pierwszej sieni, nie narożną, lecz sąsiednią. W narożnej mieszkała pani Sochacka z Józkiem i Bolkiem, pani Kublinowa z Wackiem, byłym studentem prawa i panią Cesią, Jakubowska z młodszym bratem męża; zamiast którego oboje zostali wywiezieni. Niedaleko naszego końca baraku zrobiono ustęp, jak się okazało, za płytki, za mały, wkrótce nie do używania.

Marzyliśmy o mieszkaniu bez przeludnienia, wszak od świtu do zmroku pełno bywało u nas tubylców. Wkrótce okazało się, że wszystko ma swoje blaski i cienie. Ósmego października nocujemy „u siebie”. Na polepie z gliny nie jest mniej twardo, niż na klubowej podłodze, lecz zimniej. Drzwi zewnętrzne do sieni zamykały się na patyk, drzwi wewnętrzne, wiązane sznurkiem do gwoździa, wyjątkowo nieszczelne, wiały zimnem z dworu. Nasi współlokatorzy zmarzli pod pierzynami, cóż dopiero my, którym nogi wylażyły spod płaszców. Cieszyliśmy się z poduszek. Pierzyn oczekiwaliśmy niecierpliwie.

Pan Wojciechowski zdobył ławę drewnianą, niezbyt szeroką, mimo to oboje z żoną, wychudzeni, mieścili się na niej, jak na pryczy. Stała wzdłuż kuchenki, przylegając do niej. Fela z Elą zajęły miejsce pod okienkiem, obie

Marie w sąsiedztwie, my w czwartym kącie. Skrzynka po naczyniach stanowiła mebel do stawiania pożyczanej miednicy, z okazji kąpieli – „po kawałku” – i prania. Palenie pod kuchnią wzięły na siebie mama i Fela, co było nader uciążliwe. Gałęzie zwykle mokre, kiziak źle wysuszony, palenisko bez popielnika. Dym cofał się i drażnił oczy rozpalających ognisko, dmuchających w płomień. Brakło papieru i słomy na rozpałkę. Zapałki paliły się co czwarta.

Noce już zapadały bardzo wcześnie, dni skracały się, stawały się coraz ciemniejsze. W dzień Wszystkich Świętych deszcz padał zawzięcie, coraz bardziej przybierając na sile. Zmarznięta, przytulona z jednej strony do mamy, która spała obok ojca, usnęłam późno. Nagle zerwałam się, przerażona jakimś zimnym chłasnieniem, aż wrzasnęłam. Za chwilę zerwali się inni. Ojciec zaświecił zapałkę.

– Głina! Z dachu. Rozmokła przez ten deszcz.

Niewiele już potem było spania. Dach z gałęzi, przykryty skąpą warstwą słomy, miała uszczelnić glina. Deszcz się z nią uporał. Rano nasze płaszcze były obłożone warstwami gliny. Kiedy deszcz ustał, wówczas wiatr dmuchał nam do izby, mroźny, przenikliwy. Zalepić ubytków nie było sposobu. Dach zawaliłby się pod ludzkim ciężarem. Skromną pociechą stała się lampka Wojciechowskiego i gwóźdź, na którym ją zawiesił. Tato zaś zdołał kupić u sklepikarza kilka paczek drewnianych a od drukarza parę dykt, z których sklecił pryczę dla nas trojga. Już nie musieliśmy spać na glinie. Mimo to ojciec i ja nie mogliśmy usnąć prawie dwa tygodnie z powodu zimna. Paliło się tylko raz na dzień, kiedy pod wieczór gotowaliśmy mizerną zupę, dopiero potem kładliśmy się do snu. Mama, tuląc się do nas, osłabiona, zapadała jakoś w sen. Paczka z pierzynami nadeszła w ostatni dzień przed opadami śniegu. Byliśmy uratowani.

Z początkiem listopada w jedno popołudnie i noc śnieg zasypał domy. Tylko mieszkańcom naszej klatki udało się odtarasować wejście. Sąsiadów musieliśmy odkopać, wygrzebawszy tunel do ich drzwi, otwieranych na zewnątrz. Oni odgrzebali następnych, a ci dalej. Świeży i czysty śnieg był źródłem wody; nie musieliśmy już chodzić po nią do rzeczulki. Niestety, pochłaniał więcej opału. Oszczędzaliśmy opału aż do udręczenia. Zdarzył się jednak okres dwutygodniowy, kiedy zupełnie go zabrakło i marzliśmy nieludzko. Mrozy osiągały czterdzieści stopni w dzień, nocą bywało zimniej, stepowe wichry okazywały się lodowate. Nie paliło się u nas, ani nie gotowało, sąsiedzi spostrzegli to od razu. Pani Bokotowa zaproponowała nam przyjmowanie

garnka z zupą na swoją kuchnię – to samo zrobiła pani Sochacka wobec pani Wojciechowskiej – podtrzymując ognisko każdego dnia przez parę godzin, nie tylko dla uwarzenia stawy. Nie sposób wyrazić, jakie dobrodziejstwo stanowiła gorąca zupa. Byliśmy zaziębieni, buty nam nie schły, nawet kiedy piec grzał. Po chleb chadzałam, zazwyczaj bez skutku, z Elą. Na koniec moje półbuty zrezygnowały ze służby, choć ja nie mogłam zrezygnować z nich. Jeden stracił podeszwę na całej długości od obcasa do noska, obcas drugiego urwał się. Następnego dnia ojciec reperował buty. Pożyczył obcęgi, gwoździem zrobił otwory w każdej podeszwie i w odpowiednim miejscu na wierzchniej części buta. Przeciągnął drut, nad noskiem zacisnął, skręcił. Buty upodobiły się do nosorożców. Zaziębiona bardzo, musiałam z powodu takich butów zrezygnować ze szkoły. Nawet po chleb nie wybierałam się częściej niż raz dziennie. Czekaliśmy na paczki ze Lwowa, wysłane nam przed jesienią.

\* \* \*

W czasach mego dzieciństwa babcia miała taki zwyczaj, że do imiennych prezentów (sandały, zabawki) dokładała wnuczkom coś – „na przyszłość” – ze złota. Żartowałyśmy, iż zbiera nam wyprawę, ona jednak myślała o jakimś zabezpieczeniu „na czarną godzinę”. Według wujka nie przewidziała godziny „czerwonej”. Kiedy bombardowania dotknęły Lwów, polecono mi zebrać te pamiątki razem; opróżnić z nich pudełeczka, puzderka, etui. W jednym puzderku trzymałam stalówki różnych rozmiarów i teraz w kieszeni szkolnego fartuszka znalazłam je w Kazachstanie. Wzięłam ze sobą do szkoły, gdyż nie miałam piórnika, dzieci wpadły w zachwyty nad zameczkiem puzderka.

W klasie dzieci dokuczają najmłodszemu, Griszce, który przybył z Semipałatyńska, skąd jego ojca skierowano do pracy jako kierownika zakładów naprawczych. Mały wspominał Semipałatyńsk i tego mu nie darowano, nie rozumiejąc, że tęskni za dawnym środowiskiem. Kiedyś z Elą przechodziłyśmy chyba czwarty raz w dniu po chleb, bezskutecznie, trochę zmartwione, że trzeba będzie za godzinę wracać, bo już ma być na pewno i wtedy Griszka Kuszczycy zaprosił nas do siebie, abyśmy się ogrzały i posłuchały płyt. Miał miłą matkę, która jeszcze się nie oswoiła z nowymi warunkami i chętnie z nami posiedziała. Płyty, przeważnie z piosenkami ludowymi, mały nastawiał z wielkim przejęciem, na koniec zostawiwszy ulubioną, której melodię znaliśmy i Ela śpiewała z zapałem. Ogrzane, wróciliśmy do sklepu i szczęśliwie kupiliśmy chleb.

Gdy opuszczałam szkołę, drobne pamiątki dałam koleżankom, a Griszce puzderko, bo widziałam, jak on się nim zachwycał. Był zaskoczony i wzruszony, więc raz jeszcze podziękowałam mu za koncert z płyt, mówiąc, że to puzderko właśnie na jego pamiątkę. Przyniósł mi szklaną kliszę „Karawana na pustyni”, wielkości pudełka od zapatek, kolorową, która pewnie była skarbem dziecięcym. Też na pamiątkę. Gdzie jesteś mały Grzesiu, tęskniący za swym miastem?

\* \* \*

Niurwała, dziewięcioletnia Kazaczka, nad wyraz miła, mieszkała z rodziną – oprócz kierownika Mielnikowa – w budynku poczty. Któregoś dnia w maju zobaczyła, że siedząc na schodkach w klubie strugałam z patyka łyżkę dla mamy. Rozmowna, zapoznawała mnie ze słówkami kazachskimi, czasem pytała o jakieś wyrazy polskie i zwykle mnie odprowadzała, zasypując pytaniami. – Czy widziałas kiedyś film? Bo tu raz przyjechało kino i wszyscy się na nim ruszali jak żywi i gadali. A czy w twoim mieście są takie domy, co to jeden stoi na drugim i mają wspólny dach? – Jak nie lubić takiego dziecka? Raz przybiegła i mówi, że jej mama prosi o zapalki polskie. Da nam trzy nowe pudełka kazachskie za jedno polskie. Tato mój chciał podarować całe, ostatnie, więc wzięłam połowę zawartości; nie pozwoliłam. U Niurwali zapowiedziałam pokaz. Przecięłam zapalkę na cztery części i jedną ćwiartką zapaliłam. Cieszyły się, ona i jej matka, jak dzieci i schowały resztę. W zimie Niurwała wypatrywała mego przyjscia na pocztę, aby mi pokazać dość grubą patyk. Zrób mi z tego łyżkę dla mojej mamy! Za taką łyżkę mama Niurwali zapłaciła mi garścią *boursaku*, który właśnie sporządzała, gdy przyszłam. Mąkę zagniotła z wodą, obsypała szczyptą soli, uformowała wałek grubości trzech palców, pokroiła na kawałeczki, usmażyła w łożu baranim. *Boursak* wydał się nam pyszny. Często wałam Elę i Cesię, które mi towarzyszyły, lecz gdy przypomniły, że dziś Mikołaj, zostawiłam resztę rodzicom. Wystarczyło po cztery „paluszki”.

\* \* \*

Codziennosc w naszym „domu” kazachskim uzyskiwała odcień szary. Dzień każdy krótki, mroczny, noc zbyt długa i ciemna, przez zamarzniete okno swiata nie widać. Ojciec chodzil do drukarni, gdzie mlodszy kolega uczyl go wlasciwego systemu pracy. Podczas odwiedzin dygnitarzy należa-

lo fingowac pakowanie sprzetu drukarskiego celem przekazania Urdzarowi. Tymczasem po wizytach rozpakowywac zmyslnie, aby wygladalo, ze akurat jest wlascnie pakowany. W ten prosty sposob mozna bylo przedluzac zywt drukarni, inaczej pracownicy trafiliby do magazynu zbozowego. A tam akurat pracowal Jas Dudek (piaty rok medycyny), Marysia Baczynska (studentka) i Lala Schmalowna; ktora liczyla siedemnaście lat. Od switu do nocy dzwigali sześćdziesięciokilowe worki pszenicy, z parteru na pietro, gdzie znajdowala sie waga. Zwazone worki zsuwali do przyczepek. Po takiej pracy wracali ledwie zywi. Mieszkanców naszej izby stale pedzono do robót, nie mieliśmy jednak ani butów, ani siły; konczylo sie wiec czesto na awanturach. Oczywiscie za prace przy sianokosach nie otrzymalam wynagrodzenia. Co najwyzej moglam sie cieszy, ze mnie nie sadzono.

Zimą poczta docierala rozmaicie, niekiedy raz na pare tygodni. Zreszta poczcie lwowskiej zabroniono przyjmowania paczek dla zeslanców. Do tego celu wyznaczono tylko Stanislawów i Stryj, dokad je zespolowo dowozono. Ze Lwowa dozwolono wysylac druki, totez otrzymywalam ksiazki, ktore blagoslawilam.

Moje szkolne kolezanki odwiedzily mnie w Sigizbaju kilkakrotnie. Za ich pomocą nauczycielka namawiala mnie, abym wróciła do szkoły. W odpowiedzi pokazalam swoje – zniszczone – obuwie. Obiecalam nadal ilustrowac gazetke i dlatego pare razy mi ja przyniosly. Raz zauwazyly, jak mama cerowala pończochy i nadziwic sie nie mogly, iz mozna pozbyc sie dziur, nie majac lat. Pokazalysmy, jak to sie robi, ale one stwierdzily, ze na to trzeba miec duzo nici.

Prawdziwą udrękę wywoływaly oczywiste, przyziemne potrzeby. Ustep nie funkcjonowal. Zadnych wiader, czy czegoś w tym guście nie bylo. Dzień czy noc, pozostawalo jedynie „isć za chalupę”. To bylo straszne. Zaziebieni, czy tylko podziebieni, w nocy musieliśmy wkladac mokre, lodowate buty i wychodzic na dwór, nawet wtedy, gdy wial wiatr stepowy i panowal straszny mróz. Rozpacz.

Chleb pieczono w duzych, pięciokilowych bochenkach. Sprzedawano w porcjach, krojonych dla pracujacych, albo dla niepracujacych. Na ladzie zbieraly sie okruszki, za ktore gruby Mielnikowbral oplate jak za chleb pelnowartościowy. Modlilam sie, stojac w kolejce, aby te okruszki dostac, przeciez w domu nie bylo nic, Kompletna pustka. Ucieszylam sie, kiedy przede mna pozostala tylko jedna pani, o ktorej wiedzialam, ze gotuje pare razy dziennie dla siebie samej, wyciagnelam wiec w strone sprzedawcy reke z pieniędzmi.

– Chwileczkę, panienko! Tak się nie robi. Ja byłam pierwsza.  
 – Czy pani naprawdę będzie to jadła? – Wskazałam zmiotki.  
 – Też coś! Przecież wiesz, że ja mam te psy i pieski. To takie wdzięczne stworzenia, przecież muszą je karmić. A w kolejce stoję przed tobą, sama przyznasz, że mnie się to należy.

– *Da, da. Prawilno.* A ty – reagował sprzedawca – do roboty!” Wszyscy dawno znikli, także miłośniczka piesków, a ja szłam, zataczając się, targana przez wichurę i wściekła na siebie, że nie potrafiłam obronić okruszyn chleba. Powinnam była rzucić w twarz tej miłosiernej wobec psów, że odbiera okruszyny ludziom; przecież mieszkaliśmy razem przez pół roku i widziała. Zaczęłam gonić, aby ją dopędzić. Wołałam, wicher znosił głos w moją stronę. Biegłam, podeszwa przekrzywiała się na drucie. Upadłam i beczałam jak głupia. Dobrze mi tak! Ale tam czeka mama. Nie pytała o nic, jej głodne oczy widziały wszystko. Na szczęście pani Bokotowa przysłała swe dzieci z pytaniem, czy nie chcemy ziemniaków, może nam pożyczyć. To się pamięta długie lata.

\* \* \*

Ze Lwowa przychodziło dużo listów. O tym, co się dzieje u najbliższych często i dokładnie informował nas Lolek Sawkiewicz. Studiował politechnikę i znalazł jakąś pracę, która uchroniła go przed poborem do Armii Czerwonej; sowieci bez pardonu wcielali Polaków z rocznika 1919. Listy Lolka były dla nas podporą duchową i źródłem informacji; wdzięcznie je wspominam. Dzidka, moja starsza siostra została ostrzeżona i od razu z mężem opuściła Grzymałów, gdzie Leon Kaczyński, jej mąż, pracował. Udała się do naszego lwowskiego domu, została przyjęta. Tam już mieszkała babcia, obaj wujkowie, ciocia Julia, bratowa mojej mamy z Marylką i Olkiem. Pisywali rzadko. Zgromadzili wszystko, co po nas pozostało. Lolek przychodził tam robić dla nas paczki z owych rzeczy. Dzidka podjęła pracę nauczycielską na wsi. Leon pozostał przy naszej rodzinie, wpisał się na kurs, aby go zostawiono w spokoju. Wanda miała rozprawę apelacyjną, uzyskała złagodzenie wymiaru kary do trzech lat. A zatem łagier, co następny list potwierdził. Byliśmy mocno zmartwieni. Tato usiłował trochę łagodzić nastrój tłumaczeniem, że do wymiaru kary wlicza się okres od dnia aresztowania (pół roku), toteż Wandzia powinna wrócić do Lwowa wcześniej niż my; nas zesłano na pięć lat. Oczekiwaliśmy adresu Wandzi, niepewni. Drugą, bardzo smutną wiadomością była śmierć babci, osiemdziesięcioletniej. Babcia nie mogła się doczekać naszego powrotu, zmarła na serce. Poza tym we Lwowie biedowano. Pieniądze nie mia-

ły wartości, żywność droga, stałe braki w zaopatrzeniu. Marylka kończyła medycynę i miała pracować. Olek przeniósł się do innego gimnazjum. Młodzież odnosiła się do bolszewickiego systemu, w tym do programów szkolnictwa, ze sceptycyzmem. Nikt nie był pewien niczego. Do rzadkości należały rodziny, w których nikogo nie brakowało.

\* \* \*

Upewniliśmy się, że zimą do Nowotrojska można wędrować tylko wówczas, kiedy śnieg na całej powierzchni jest twardy. A zatem wcześniej rano. Na stepie śnieg osiąga głębokość od jednego metra do trzech i dopóki z wierzchu zamrznięty, dopóty można po nim iść, a nawet jechać saniami. Jednak zazwyczaj w zimie mało dróg było uważano za przejezdne. Pani Kierepkowa zaproponowała nam wspólną wyprawę, ale tato pracował i nie dostał jeszcze drugiego dnia wolnego, oprócz niedzieli. Ja się zdecydowałam, bo coś tam z otrzymanych wcześniej paczek odłożyliśmy na wymianę, a żywności brakło. Z pierwszej fermy dołączyli Mazurowie: Weronka, Jasiek i, najmłodsza z nich, Zośka, w moim wieku. Pani Kierepkowa zabrała Matyldzię. Wyruszyliśmy, gdy noc gwiazdzista zaczynała blednąć; znanym traktem, choć śnieg go zasywał. Byłam szczęśliwa, wszak otrzymałam ze Lwowa paczkę z półbutami na słupkowym obcasie. Były skórzane, stukały po lodowej nawierzchni. Mimo ostrego mrozu szło się nam dobrze. Mój plecak nie był ciężki: parę rzeczy na wymianę. Gwiazdy pogasły i gdzieś daleko, za Tas Bułakiem, zaczęły się ukazywać pierwsze promienie. Wskoczyło słońce. Szklista powierzchnia twardego lodu zaiskrzyła się. Jaki wysrebrzony świat, ślicznie.

– Ojej! Trzeba galopem do Nowotrojska; przeraził się Jaś. Zaraz skorupa się stopi i zapadniemy się. Prędkiej!

– Ludzie, ratujcie! Matyldzia wyskoczyła do przodu. Patrzcie, tam!

– Zgubiła się droga. Nie zdążymy.

Podbiegliśmy. Matylda stała na krawędzi stepu, który urywał się nagle bardzo stromo, lecz nie na znanej nam trasie, bo całkiem z innej strony oglądane go teraz z góry kołchozu. Urwisko ciągnęło się na bardzo długiej przestrzeni. Nie było czasu do stracenia. W takim śniegu ludzie ginęli. Nie ma innej rady, jak zjechać w dół.

– W imię Boże! Zjeżdżamy, Matyldziu, usiądź na teczce; zdecydowała jej matka i siadła na zarękawek, Jasiek i Weronka na swych futrzanych czapkach. Zośka miała chustkę na głowie, ja berecik, przywiązany szalikiem. Zocha podwinęła płaszcz do góry, aby się nie podarł na lodzie. Jazda. Siadłam na rękach

i ruszyłam. Na łeb, na szyję. Wiatr bił w twarz i czułam tysiące drobnych ukłuć, igielki lodu siekły bezlitośnie. To moje słupkowe obcasy rznąły powierzchnię lodu na okruszki. Ręce piekły coraz bardziej. W oczach mi poczerwieniało. Nagle słyszę ryk. Zośka? Tak, ona. Łąduje tuż za nią u stóp Matyldzi i jej z matki. Biedna Zocha, chciała oszczędzić płaszcz i spódniczkę, zjeżdżała na majtkach, skończyła bez nich i bez skóry, startej z pośladek. To jej krew czerwieniła mi się w oczach. Nie inaczej stało się z moimi dłońmi, wokół nich fruwały strzępki rękawic. Złamałam kawałek pokrywy lodowej i chłodziłam ręce, doradzając Zośce to samo. Weronka poświęciła poszewkę, przeznaczoną na handel i podłożyła ją biduli pod spódnicę. Trzeba ruszać. Zdążyliśmy dość do wydeptanej drogi, gdy lód zaczął nam trzeszczeć pod stopami. Handel wymienny udał się nam dość dobrze, bo niewielu śmiazków przybywało w tym czasie do kołchozu. Nocleg pani Kierepkowa znalazła dla wszystkich na czas, aby przed brzaskiem ruszyć w drogę powrotną właściwą trasą. Udało się dotrzeć do Tas Bułaku przed krytycznym momentem. Zocha gorączkowała, wylądowała w szpitalu, gdzie inne pacjentki podziwiała śpiącą na brzuchu i koniecznie chciały sprawdzić stan jej odwrotnej strony medalu. Moje ręce wydobrzały wcześniej.

\* \* \*

Wreszcie przekazano nam bezpośrednią wiadomość od Wandy, kartkę z łagru adresowaną do babci. Po rosyjsku. Wolno jej pisać jedną na trzy miesiące, otrzymywać zaś może więcej. Prosi babcię o nasz adres i list od nas. Mama zmartwiła się, że Wanda wie o naszym wywiezieniu. Wanda wspominała, że zdrowa; przebywa z koleżankami. Ma prawo dostawać paczki, prowadzić korespondencję musi po rosyjsku lub po ukraińsku. Prosiła o jasiczek do spania.

Zimą paczki z kraju nie dochodziły. Wysłaliśmy jasiczek swój, starając się dołączyć wszystkiego po trochu z naszych nader skąpych zapasów, na przykład cukier w woreczku wielkości ćwiartki chusteczki do nosa, zostawiając sobie mniej; resztki z paczki. Nadmieniliśmy, że jesteśmy zdrowi, dajemy sobie radę, kontakt z rodziną mamy stały i pytaliśmy, o co nam było można. Gdy brakło mi słów rosyjskich lub ukraińskich, używałam polskich, oczywiście wyrażonych w jednym z owych alfabetów. Zapewniałam, że ślemy wszystkiego po trosze (jagły, mąkę, kaszę gryczaną z paczki), bo nie wiemy, co chciałyby i czy ma gdzie gotować.

Po kilku miesiącach dała znać, że otrzymała przesyłkę, ucieszyła się, już

wie, jak nam się wiedzie. Paczka powiedziała wszystko. To była jedyna, na więcej nie mogliśmy się zdobyć.

Pisałam właśnie listy do Lwowa, ciesząc się, że tam koleżanki na tajnych kompletach realizują polski program, o czym donosiły mi w sposób nieco kamuflowany. Tymczasem odwiedziły nas dzieci tubylcze z ostatniej w baraku kwatery, którą przeznaczono Kazachom, kiedy wrócili ze stepów, skończywszy letni wypas owiec. Zwyczajem tubylców Szurka z małym braciszkiem o imieniu Bała stali przy drzwiach i obserwowali nasze zajęcia. Mama coś łatała, pani Wojciechowska przebierała resztki pszenicy, Fela dmuchała w palenisko z garstką *kiziaku*, by rozniecić ogień, Ela siedząc na ziemi pod okienkiem czytała książkę, a ja wykorzystywałam atrament, póki nie zamarzał. Dzieci uznałam za typowe i narysowałam małego chłopca, co Szurka biegła pokazać matce, gdyż Bała z portretu naprawdę był podobny. Za chwilę przyniosła czarękę *bursaku*. To mnie natchnęło nieszczęsnym pomysłem. Wybrałam się do grubego Mielnikowa, władcy spółdzielni, aby sportretować jedynaczkę w nadziei, że gdy się uda, mogę liczyć na następne okazje. Niestety, choć pomysł był dobry, wykonanie zawiodło. Rysunek udatny, podobieństwo elementów wyraźne, całość jednak w żaden sposób nie przypominała modelu. Pięcioletnia Tania wierciła się, jak gdyby ją coś oblażyło, robiła głupie miny – chyba ja też – i moja święta cierpliwość oraz wytrwałe wysiłki na nic się nie zdały. W końcu jej matka ogłosiła obiad, stawiając na stole kapuśniak. Porwałam płaszcz tak szybko, że wkładałam go już za drzwiami, upokorzona niemal do łez niepowodzeniem i brakiem choćby gestu pozorującego zaproszenie mnie do stołu, z czego bym zresztą nie skorzystała. Trudno. Mam prawo próbować choćby nawet jako beztalencie. Robiłam, co mogłam, przeliczyłam się. Tylko ta reszta doświadczenia. Całą drogę do domu obiecywałam sobie powiedzieć, że jadłam obiad, ale mama uprzedziła mnie.

– Zupa gorąca. Dobrze ci zrobi. – A pani Wojciechowska dorzuciła.

– Syty głodnego nigdy nie zrozumie, tym bardziej ruscy.

\* \* \*

Czasem odwiedzał nas Chińczyk, który przybył z innego *sowchozu*, by uczestniczyć w kursie traktorzystów. Stawał przy drzwiach i obserwował podobnie jak Kazachowie. Na wyrka nie zapraszało się nikogo z obcych, zresztą usiąść nie było gdzie, chyba na polepie glinianej. Rozgadał się kiedyś, gdy zastał tatę i pana Wojciechowskiego. Odsiedział pięć lat w łagrze – tam się oswoił po trosze z językiem rosyjskim i kazachskim – za przekroczenie grani-

cy. Z Chin uciekł do Związku Sowieckiego przed głodem w bardzo nieurodzajny rok. Dano mu paszport, czyli obywatelstwo i nie myślał już o przekraczaniu granicy, aby nie wpaść znowu. Zresztą „głód taki sam” wszędzie. Przedstawivszy życiorys zwrócił się do taty – wskazując na mnie – z pytaniem, ile kosztowałaby ta *kyszymka* (dziewczyna), gdyby chciał ją uczciwie kupić na żonę.

– Alicja, gratuluję zaszczytu. Pisnęła Ela z niewinną minką.

– Ale pilnie czytasz – odpaliłam – i nie podsłuchujesz, zazdrośnico.

Biedny konkurent nie mógł zrozumieć, dlaczego oferta nie została przyjęta.

– Ja uczciwie. Będę traktorzystą, zarobię, przyjadę zapłacić. Uskładam i wtedy. Tylko, żeby już nie inny, tylko ja. Nie teraz. Jak już będę miał pieniądze. Ja pracowity i porządny, nie *swołocz*. Ja zapłacę, pojedziemy do urzędu, będzie kontrakt ślubny. Wtedy ojciec tłumaczył, jak dziecku, że u nas tak nie wolno, ale to – wydawało się – jakby mówił „dziad do obrazu”. Aż pan Wojciechowski chciał zagadać biedaka.

– A ile żon może mieć Chińczyk? Tam w Chinach?

– Tutaj, jeden. Tam, nie jeden. Dużo ryżu, dużo żon. Mało ryżu, mało żon, nie trzeba dużo. A ja chcę ...

– Ela – zauważyłam – masz szansę! – Jednak Fela nas uciszyła.

Wytrzymały absztyfikant zaglądał jeszcze kilkakrotnie, lecz nic nie mówił, bo nie było taty. Zjawił się po zakończeniu kursu, by się pożegnać. Tym razem zastał ojca i deklarował powrót, jednak dał sobie wyperswadować. Może dlatego, że leżałam chora. Już miał odejść, nagle wybuchł śmiechem i wyciągając rękę w kierunku mamy, zachwycił się, urzeczony:

– Okulary! Okulary! Ja kupić, ja czytać. I porwał je, aż mama protestowała. Z rąk Feli wyjął gazetę i wniebowzięty włożył okulary.

– *Nikak nie mogu*; wyznał po chwili z głębokim żalem.

– To jest rosyjska gazeta, a nie chińska; rzekła Fela z powagą, biorąc gazetę i podając mu ją we właściwy sposób, bo trzymał do góry nogami.

– Umiecie czytać po rosyjsku?

– Nie, po rosyjsku nie, ale w okularach, ja powinien.

## Barak

Trochę łatwiej było żyć w owym porozdzielaniu nas osobno w klatkach, łatwiej, niż w tamtej jednej izbie z kuchenką na setkę ludzi. Było trochę biegania, aby pożyczyć miednicę, nożyczki, młynek do kawy celem zmielenia pszenicy, bo taką lepiej uwarzyć. Było zimno, lecz mniej ciasno i krępująco.

Przeważnie sypiano na dywanach z Polski ułożonych na glinie, lecz w pościeli obleczonej, co zadziwiało tubylców; tak jak i nasz zwyczaj przebierania się do snu. Wszędzie ludzie mieli jakieś kufry, kosze, walizy, pełniące różnorakie funkcje, ze stołem na czele, gdyż prawdziwych mebli brak. Tylko u nas było inaczej. Dwa wyrka, skrzyneczka, dwie walizki współmieszkańców i prawie żadnych rzeczy, poza garstką odzieży. Żadnej bielizny pościelowej, czym różniliśmy się, niestety, od innych. Mniej się jadło, mniej paliło, ogrzewało, mniej było szumu i ruchu. Nasze dwie Marie wracały na nocleg zmęczone po kursie, który obejmował praktykę w *traktornym parku*, króciutko się wtedy świeciła lampka na rope, rozkładano legowiska i dzień kończył się wspólnym różańcem. Pan Wojciechowski, organista, wieczorami, przed powrotem kursantek zaczynał śpiewać *Godzinki*, a ponieważ przeziębienie nas nie opuszczało, wciąż tłumiliam w sobie myśl, że tym śpiewaniem to się raczej nie tyle napraszamy Panu Bogu, ile mścimy za swoją dolę. Wszystko, tylko nie *Godzinki*, na które zdawałam się porastać kolcami, lecz nie miałam wyboru, wobec czego traktowałam je jak pokutę.

Czasem z Elą wystawałam u progu, wszak w domu nie było cieplej. Przytupywałyśmy, umilając sobie życie opowiadaniem książek lub filmów. Nie korzystałyśmy z zaproszeń do innych kwater, by się ogrzać, wszędzie panowała ciasnota. Nieraz przechodnie zatrzymywali się na pogawędkę, czasem ktoś z młodzieży. Choćby Cesia, która bardzo się z nami zżyła; to dzięki niej pani Jadwiga orientowała się w naszej sytuacji i proponowała pomoc. Chętnie pojawiała się Matyldzia z nowinkami, do których miała dar szczególny. Od niej dowiedziałyśmy się o niezwykłym zjawisku nocą. Zorza polarna docierała aż tak daleko. Miejscowi uznali ją za znak, który zapowiada rychłą wojnę; zaczęła się w czerwcu.

Kiedyś, gdy po nieudanych wyprawach wróciłyśmy obie z Elą bez chleba, Matyldzia dyskretnie przybiegła do nas z placuszkami, uszczęśliwiona, błagając, abyśmy się nim obdzieliły, bo sama zjadła już całe. To było zaskakujące i wzruszające.

Pewnej nocy zbudziło mnie gwałtowne, poziome kołysanie, jak gdyby ktoś gwałtownie szarpał wyrkiem. Po głośnych oddechach zorientowałam się, że nie tylko ja nie śpię. A potem słychać było kaszel, wycieranie nosów, drapanie się Marysi (świerzb), nikt nie spał, choć w ciemności nikt się nie odezwał. Kołysanie odczułam kilka razy. Wskutek panującej ciszy doszłam do wniosku, że to majaki głodowe. Rankiem wpada pani Sochacka z pytaniem, czy i nam trzęsienie ziemi nie dało spać. I wówczas okazało się, że w naszej izbie – a było nas dziewięcioro – każdy uznał swe odczucia za głodowe majaki.

Pewnego razu, gdy zabrakło chleba, a zapowiedziano nową dostawę, roz-

ważałyśmy z Elą, czy czekać przed spółdzielnią, czy iść do domu w tę straszną wichurę, aby zaraz potem wracać. Wówczas pani Maria zaproponowała zasięgnąć języka u piekarza, kiedy będzie gotów z wypiekami. Za godzinę.

– Może poczekacie u mnie, tuż obok. Szkoda mordęgi, taki wicher. – Ela zdecydowała się bez namysłu, więc poszłyśmy. Lepianka malutka z sionką i izbą mieszkalną. Meble, dwa łóżka, mały stół i stołek, jak u Rosjan. Z walizy pani Marii ustawiona niby komoda, przykryta serwetką, album ze zdjęciami z Polski.

– Pokażę, zdejmujcie płaszcze, tu ciepło. O, to nasza rodzina, mama, mój mąż, nasz synek, którego pozwolono zostawić mi z mamą.

– Gdzie są teraz? – Odważyła się Ela.

– Męża wzięli: oficer policji. Żegnał mnie i mówił. „Musisz przeżyć! Wróć. Musisz, za wszelką cenę, pamiętać!” – Rozpłakała się.

– To najlepszy człowiek na świecie. Muszę przeżyć dla niego, dla synka, dla matki. Nie miałam wyjścia. Ja wciąż choruję, gdzież mi do takiej pracy, jak tu. Na ile by wystarczyło to, co mam? Kiedy Kazach zaproponował, abym została jego gospodynią, pojęłam, że to moja szansa na przeżycie. *Domochadziaków* nie zmuszają do roboty. Tyle to ja mogę. Chodzę po mleko, gotuję, piorę, szyję, sprzątam. Ta lepianka już całkiem inaczej teraz wygląda. A on spokojny, pracuje, docenia.

– No, tak, ale...

– Ale teraz ja mam spokój i jakąś nadzieję. Nie głoduję, nie marznę. Nikomu męża nie odebrałam, krzywdy nie wyrządziłam. Reszta to moja sprawa osobista.

– A nasi ludzie?

– Nie narzucam się im. Nikomu. Odsunęłam się. Wiem, co mówią, trudno. Tam też nie wszystko jest, jak powinno być.

Oglądałyśmy album, świadectwo normalnego, rodzinnego życia. Smutno.

– Ciężko pani w odosobnieniu.

– Zdecydowałam się na tę ofiarę. Dla męża. On zrozumie. Tak bał się o moje zdrowie, z którym było źle. On mnie nie potępi. A tu wszystkim schodzę z drogi, nawet pomocy nie proponuję, rozumiem pogardę. – Wracałyśmy z chlebem i ciężkim sercem. Dręczyły nas bowiem pytania. Czy za wszelką cenę, to znaczy także za taką? Czy to jest prywatna sprawa? Czy? Czy?

Od niedawnych współmieszkańców – przesiedlonych na czwartą fermę – chodzących do Sigizbaju na pocztę, wiedzieliśmy, że w Chutorze Dolnym, oprócz hodowli świń, prowadzono hodowlę krów. Czasem można tam było kupić ser *obrat*, dość tani. Wybrałyśmy się więc z Elą w słoneczną, choć mroź-

ną niedzielę. Szło się po ubitym, śniegowym trakcie, wyjeżdżonym przez sanie, a utwardzonym nogami ludzi dorosłych, chodzących w obie strony do pracy oraz dzieci, które nie miały szkoły na miejscu. Na Chutorze Dolnym znalazłyśmy lepiankę Polaków. Odsapnęłyśmy chwilkę i Danka Kijanowska zaprowadziła nas do mleczarni, gdzie kupiłyśmy po dwa kilo sera, jeszcze ciepłego. Podziękowałyśmy wszystkim, uśmiechnięte od ucha do ucha wracałyśmy, skubiąc po trochę – póki nie zamarzł – twaróg z woreczków, aby mieć siły na powrotne (cztery) kilometry. Już widać było pierwsze lepianki Sigizbaju, kiedy nadjechał na koniu Kazach, *uprawolajuszcy*, główny nasz wróg. Nie zdążyłyśmy ukryć woreczków. Odebrał, sprawdził, rzucił na ziemię. Wrzeszcząc, że to kradzione, pędził nas z powrotem na Chutor Dolny. Wówczas ostrożnie wyjmowałyśmy z woreczków ser, by po trochu połykać zmarznięte grudki, skoro nie było nadziei na doniesienie do domu. Rosjanki w mleczarni nie dały się zakrzyczeć i zgodnym chórem wołały, iż odsprzedały nam swój tygodniowy przydział, bo do tego mają prawo, a my przyszłyśmy aż z centrali. Rozwścieczony, chwycił nasze woreczki i wybiegł wprost do chlewow. Zawartość wysypał świniom.

– Świnie *kazionne, obrat kazionny*. Teraz w porządku. A wy mnie popamiętacie.

– Pod jednym względem miałyśmy szczęście; odezwała się Ela w powrotnej drodze.

– Czyżby? Nie mogłam sobie przypomnieć.

– To, że Cesi nie puszczono z nami, chociaż prosiła.

\* \* \*

Opłatki napływały w listach, zwykle wzbogaconych kartką na odpowiedź, wszak papieru brakło. Wszyscy starali się zaoszczędzić albo zdobyć na Wigilię mąkę, ziemniaki i mieć przynajmniej ten raz pierogi. Mąka była czarna, jakiej nikt u nas, we Lwowie, nigdy nie widział, oścista, lecz upragniona. Do narady o możliwości zaoszczędzenia mąki włączyła się Ela, przysłuchując się rozmowie matki z Felą.

– A, to nic nie szkodzi, że nie będzie tradycyjnych dwunastu potraw. Wystarczy nam jedenaście. I jeszcze mam pomysł. Ala i ja możemy, bo nam się to świetnie udaje, pójść znowu i kupić w Dolnym ser. – I cieszyła się, strojąc żarty z niedawnej klęski.

Nadeszła Wigilia, pierwsza na zesłaniu. Nawet gwiazdki nie było na pochmurnym niebie, a wiatr stepowy udowadniał, kto tam ma największe prawa. Wszyscy snuli się przyciszeni wspomnieniami i tęsknotą, zwielokrotnioną

przez niepokój o najbliższych, oddalonych. Obie Marie poprzedniego dnia poszły osiem kilometrów na „swoją” pierwszą fermę; całe szczęście, dzięki temu dzień był spokojniejszy. W izbie zrobiło się luźno. Przyproceedziłam ciocię na wieczerzę. Oplatkami lamaliśmy się ze sobą i współmieszkańcami, składając życzenia. Cała uczta, po cztery pierogi. Czarne ciasto, białe ziemniaki, luksus. Wodę z gotowania mama odstawiła; to będzie zupa święteczna, tamci swoją wypili, a my wrzątek.

W dzień Bożego Narodzenia radość wszelkiego stworzenia; ktoś zaczął bezmiernie smutnym głosem śpiew. Kolędy było słycać w całym baraku, wicher się uciszył, jakby zrozumiał, że mają dotrzeć do niebios, nabrzmiałe błaganiami i łzami. Podczas Świąt Bożego Narodzenia odwiedzano się z życzeniami i oplatkami, nie brakło go wtedy. Odłożyłam trochę na nieznaną przyszłość.

\* \* \*

Stogi układano w rozmaitych, odległych od ferm rejonach, tam, gdzie odbywały się sianokosy. Brakowało środków transportu, ale z pewnością część siana można było przybliżyć ku ludzkim siedzibom. Uważano jednak, że zimą będzie się wozić siano zgodnie z potrzebami. Właśnie zimą na pierwszej fermie Dżyldykara zmuszono do jazdy Frania Kożuszka. Dano mu spore sanie do załadowania, machnięto ręką, w którym kierunku ma jechać i kazano pilnować wołu. Pogoda mroźna, wiatr taki sobie. Na szczęście Franio był nienajgorzej ubrany. Na głowie miał ruską, futrzaną czapę z nausznikami i klapą, chroniącą czoło. Pojechał.

W stepie pogoda nigdy nie jest pewna. Już cieszył się, że widzi stóg, gdy nagły burzan zamienił świat w zimne piekło. Zwierzę wydobywało z siebie całą energię i na ślepo dotarli do celu. Ni stąd ni zowąd wół zaczął drzeć wyrwę w zamrożonej ścianie siana, Franio poszedł za jego przykładem. Wspólnymi siłami zrobili jaskinię, w której przeczekiwali groźną aurę. Trwała trzy dni. Wół przynajmniej miał na miejscu spiżarnię. Franio głodny, bez poczucia czasu, usypiał i budził się. Tracił przytomność i znów usypiał, grzejąc się przytulony do zwierzęcia. Na fermie matka szalała z lęku, jednak nie sposób było ruszyć na poszukiwanie. Na krok nic widać, burzan szalał. Czwartego dnia znaleziono żywych, chłopca i wołu. Franio trafił do szpitala, tam kosztem amputacji odmrożonych palców u nóg uratowano mu życie.

\* \* \*

Dziubarbej, teraz popychadło sowchozowe, był dzieckiem bogatych *bejów* – mieli liczne stada owiec – zamordowanych podczas rewolucji. Biedacy

kazachscy włączyli Dziubarbeja do grupy swoich dzieci i to go uratowało. W sowchozie stałym miejscem pobytu Dziubarbeja był Sigizbaj, skąd słano go w różne miejsca z pilnymi zadaniami, zwykle tam, gdzie komu innemu było niemiło. Najczęściej jako woźnicę, który dostarczał różne rzeczy do ferm Tas Bułaku. Znali do wszyscy. Nikomu wody nie mącił.

Któregoś dnia wlokłam się ze spółdzielni, znużona piątą, bezowocną wyprawą po chleb, którego już w tym dniu nie oczekiwano. W domu pustka i zimno, a ja znów zostałam odepchnięta od lady przez silniejszych. Dławiłam się łzami. Zmarzłam tak bardzo, aż zaczęłam beczeć rozgrzeszając się, że nikt nie widzi. Tymczasem tuż przede mną wyrósł Dziubarbej.

– *Kyzymka*, bierz chleb! Bierz, nie płacz! I wyciągnął *pajok* z za pazuchy. Ocknęłam się na tyle, że od razu podałam mu należność, którą miałam w rękawiczce.

– *Rachmet*, Dziubarbej, *rachmet!* Dziękowałam dobroczyńcy, który ostrzegł, abym nikomu nie mówiła i znikł w najbliższej lepiance. Miłosierny Kazach, pogardzany Azjata. Jak go porównać z panią, która hoduje wdzięczne pieski? Moje wyobrażenie świata zaczęło się chwiać.

\* \* \*

Najwięcej książek przysłał mi Lolek, odkrywca wydawnictwa Zuckerkandla. Były to dramaty klasyków światowych; miały format kartki pocztówkowej. Kilka książek dostałam od Ali Dawidowicz, jakąś od swej pierwszej nauczycielki, Martusi. Od czasu do czasu od Leona, szwagra, który w zachwyty wprawił mnie i innych czytelników Mickiewiczem w opracowaniu Stanisława Pigionia. Każdy coś tam znajdował dla siebie, czytano w niektórych kwaterach na głos, dopóki się nie ściemniło. Dziewczęta przepisywały, jeśli tylko miały na czym. Uczyły się na pamięć. Nawet maluchy przychodziły, prosząc o czytanie bajek. Następne były od Leona, bardzo rozchwytywane. Józefa Ignacego Kraszewskiego *Kunigas* i *Chata za wsią* oraz Jacka Londona *Dolina księżycy*, oprowione solidnie, grube.

Nowa książka zachwyła mnie objętością. Niestety, rozczarowała treścią: *Słownik niemiecki*. Po co mi? W gimnazjum miałam francuski i łacinę. Jednak okazało się, że Kazio Dudek wpadł na pomysł uczenia się niemieckiego z Bokociakami, licząc na pomoc pana Jasia. Ten, nagabywany przez chłopaków, oznajmił, że zaczną się lekcje, gdy będą umieć trochę słówek. Staś, spotkawszy mnie, zameldował rozpromieniony:

– Wiesz, wkrótce pan Jaś zacznie z nami lekcje. Umiemy już dość dużo słówek. Wszystkie, po kolei, na litery: a, b, c oraz część na d.

Potem Lolek przysłał *Antologię liryki polskiej* Wacława Borowego. Była nam podporą duchową, okazją do wzruszeń, ażylem od zmartwień, serdeczną więzią z krajem, jakiej bardzo, oprócz korespondencji, było nam trzeba.

Dnia z wolna przybywało, mrozy w dzień zelżały. Cieszyliśmy się, że zima ma się ku końcowi. Już nawet poczta dowoziła paczki, nadane wczesną jesienią. Jakaś przez nas oczekiwana, z kaszą, wróciła do Dzidki, bo ta włożyła do niej miód, który sfermentował, rozsadził puszkę i przebił się przez opakowanie. Szkoda. Trudno. Kilka paczek z odzieżą zimową, wysłanych Cesi przez jej ciocię, dotarło teraz. Otrzymała wiadomości o ukrywającym się ojcu, który również dawał o sobie znać jako rzekoma babcia. Rodzina zawiadomiła nas o wysłaniu paczki do Wandzi, do łagru, prosząc, aby tym już się nie kłopotać. W jednej z paczek mama dostała babciną spódnicę, długą do ziemi, szeroką. Przerobiła na siebie, a z resztek uszyła mi kamizelkę, z guzikami, które wystrugałam z patyka; mama obszyła je materiałem. Wspaniale zakrywała łąty „na plecach” bluzki. I tak się wystroiłam na Wielkanoc.

Wielkanoc zbiegła się z naprawdę pierwszym dniem wiosny. Wiatr i słońce zlikwidowały śnieg i rozpulchniona ziemia zazieleniła się trawką. Wszyscy mieszkańcy osady powyłazili ze swych nor. Polacy, rzecz można, celebrowali święto, naprzód śpiewem, później spacerem bez pośpiechu, strojni w najlepsze resztki ubrań, radośni, odmienieni. Cud. Zjawiły się nasze dziewczęta z Chutoru Górnego. Nalegały. – Przyjdźcie do nas na wzgórze zobaczyć stepową wiosnę, gdyż tubylcy zapewniają, że trwa ledwie kilkanaście dni. –

Pośród spacerowiczów wzdłuż naszego baraku nie było ani mamy, ani pani Wojciechowskiej. Siedziały z Felą w izbie, gawędziły w miłym nastroju.

– A to znacie – zaczęła pani Wojciechowska – „Nadziejo, jakaś mi miła”? Fela zawtórowała. „Tys życia mego ozdoba. II Tyleś mnie razy zdradziła! II Ja zawsze pójdę za tobą!” Rozległa się piosenka, wcześniej nieznana mi, pamiętana odtąd wraz z matką Feli i Eli.

Poniedziałek Wielkanocny. Wyprawa na Górne. Tam nagły wybuch wiosny rozkwiecił połacie łąk. Łachami czerwieniły się niewielkie, niczym stokrotki, kwiatki podobne do naszych maków. Dalej całe kolonie maleńkich tulipanów, białych, żółtych, czerwonych, ledwie wystających znad trawy, potem miniatury hiacyntów. Często wśród trawy napotykałyśmy liście poziomek, takich, jak tam, u nas, w Polsce. Powietrze świeże, wiaterek łagodny, wzgórze raczej płaskie. Ślicznie. Świat jest piękny. Czemu wszakże tak tęskno i smutno? Sam chutor bardzo

mały, lepianki ubożuchne, kilka rodzin naszych, parę tubylczych. Odludzie. Strasznie tu musiało być zimą.

Tuż po świętach wtargnęli dygnitarze z naczelnym Kazachem i Gałyszem, pięcioro. Z wrzaskiem oznajmili, że władza karnie przenosi na trzecią fermę Wojciechowskich, gdyż nikt z nich nie pracował i nie chce pracować. Dygnitarze zaczęli chwycić, co im wpadło w ręce i wyrzucać przed dom krzycząc, że zaraz będzie podwoda. Za nieposłuszeństwo *proguł*. Powstało okropne zamieszanie, uczestniczyli w nim również inni mieszkańcy baraku. Fela odbierała rzeczy wynoszone i wносиła z powrotem, wszak wśród nich były nasze. A prześladowcy szarpali, aby na nowo zabrać i wynieść. Hałas, rozpacz, szaleństwo. Rzucono na wóz dwie walizki, obok kilka tobołków. Wśród rozgardiaszu oraz pożegnań rozstawaliśmy się z przyjaciółmi, na niewiadome. Gdy odprowadziłam ich spory kawał, a potem zobaczyłam moich rodziców, bardzo smutnych, tak mi się żal zrobiło, że chętnie wyłabym – śpiewane zawsze z panem Wojciechowskim – *Godzinki*, które przez minione pół roku stanowiły dla mnie rodzaj pokuty.

Tydzień później to samo spotkało nas i kilka innych rodzin: panią Anię Nowakową z Dziunią i Jerzykiem, panią Korzeniewską, zaprzyjaźnioną z nimi, panią Kierepkową z Matyldzią. Gdy rzeczy załadowano na wóz, rozsunęłam je, aby mama usiadła, słaba bardzo; z zaburzonym zmysłem równowagi po przewlekłym zapaleniu ucha środkowego. Gałysz, który się zjawił nagle, podniósł wrzask, że nie wolno siedzieć na wozie nikomu, bo wół się przemęczy. Na moje protesty chwycił mamę za rękę, aby ściągnąć z wozu. Ja natomiast chwyciłam jego rękę, wystraszona, że mama spadnie. Zeszła. Woźnica ruszył, mama położyła dłoń na brzegu wozu, aby przy nim iść. Gałysz, zobaczywszy, uderzył ją po ręce.

– Ludzie, ratujcie, a to cham! Palnęłam z całej siły po tej „karcącej dłoni”, za co Gałysz zamachnął się, wściekły. Odskoczyłam, a mama krzyknęła, abym się uspokoiła. Odeszła od wozu i pociągnęła mnie. Ojciec odprowadził nas na bok, nie zwracając uwagi na głośne przekleństwa, sypiące się po rosyjsku i po kazachsku za mną. Krzyczałam, biorąc ludzi na świadków, lecz widziałam, że ci, którzy dopiero co żegnali nas ze współczuciem, odchodzą obojętni. Już obojętni, pomimo niedawnych serdecznych słów „z Bogiem!”

– No, cóż skomentował to ojciec, my odchodzimy, oni zostają. Zrobiłaś, co mogłaś w obronie matki. Oni mają rodziny, nie mogą swoich dzieci narażać na zemstę Gałysza. To wszystko.

\* \* \*

Tiki Bułak po kazachsku znaczy „owczy klucz”. Osada niewiele większa od Łaj Bułaku („kozi klucz”), gdzie nas przed niecałym rokiem wyładowano

z samochodów. Trzy rosyjskie domy i kilkanaście kazachskich lepianek. Bez poczty, szkoły, piekarni, szpitala – dla którego ciocia Iza wolała zostać w Centrali – bez klubu. Urząd jednoizbowy, sklepik zwykle pustawy, oferujący mąkę zamiast chleba, rzecz jasna, jeśli była. Kwaterę nam dano w łaźni owiec; dla ludzi łaźni nie było. W sieni dół na wodę do kąpieli zwierząt przed strzyżeniem. W izbie, do której wiodły prowizoryczne drzwi, piec kuchenny na parę garnków i dwa okna bez możliwości otwarcia. Przy oknie dalszym zajęłam miejsce dla nas. Tam ojciec zmontował pryczę. Cała Polonia przyszła nas witać. Był to piętnasty kwietnia, rocznica naszego przejazdu przez Zbrucz. W Tiki Bułaku zastaliśmy panią Kapałczyńską z Andrzejem, moim rówieśnikiem, i młodszym Jurkiem, znajomych z wagonu, panią Horodyską z Jurkiem i Zosią, panią Zwierzańską z Krysią, Hanką i Janką, tudzież rodziny Serwatowskich, Śniadowskich, Dzieduszyckich Prokopczyców, Rohatyńców, Kahane, Tyszków, Klinków i kilka innych; razem wtłoczone do dwu kwater w domach rosyjskich. Pokazano nam, którędy chodzić do rzeki po wodę, niecały kilometr za szosą. Posililiśmy się, czym kto mógł i, ułożyliśmy się spać.

Śniłam, że kłują mnie setki igieł, a potem, że płonę. Aż krzyk własny mnie obudził. Pałą ręce, cała skóra.

– Świeca? Tu, tu była. Nie płacz, Jerzyku! – Usłyszałam głos pani Ani i za chwilę świeca migotała płomykiem. Wyciągnęłam nogę spod pierzyny. Jezus, mrowie pluskiew. Na rękach, wszędzie. Wskoczyłam z wyrka, zaczęłam je z siebie zrzucać, strzepywać, zgarniać, nie tylko ja jedna, wszyscy. – Zadeptujcie od razu! Rozdeptywać! – Padały urywane uwagi, a ja zacisnęłam usta; nie ma innej rady. Ale nam wymyślili karę. Boże, ratuj! Co jeszcze? Rozpacz, a świeczka się topi, jedyna. Pani Ania musi ją zgasić. Jaki smród od tych pluskiew. Męka do samego rana. Posnęliśmy wśród płaczu.

Przed brzaskiem nowi władcy urządzili nam pobudkę, wzywając do roboty. Na krzyk odpowiedzieliśmy wściekłością z powodu pluskiew, co ich tak ubawiło, że rechotali i klepali się po udach ze śmiechu. Cóż to takiego kłopy (pluskwy)? Wiadomo, są wszędzie. Dopiero teraz glina w baraku sigizbajskim wydała nam się czymś wspaniałym. Wszak ostatnia noc okazała się gorsza od tamtej nocy, kiedy dach gliniany spływał nam na głowy i legowiska. Do roboty wypędzono ojca, przydzielono mu cielęta, mnie owce. Resztę, dzieci, matki, gospodynie domowe potraktowano ulgowo.

Andrzej Kapałczyński, spostrzegłszy mnie przed stajnią, radził, bym ubrała się cieplej. Miał rację, tu jeszcze nie doszła taka wiosna, jaką pożegnaliśmy w Tas Bułaku i na Górnym. Trawka już się tu i ówdzie nadawała do skubania

owieczkom, choć płaty śniegu leżały nadal. Trzoda traktowała je jako źródło wody. Pasłam dwadzieścia dwie owce z jagniętami na skraju fermy. Dzień, zaczęty wcześnie, dłużył się mi bardzo, ból głowy narastał, doczekać się nie mogłam sygnału powrotu, bez czego nie wolno było stamtąd ruszyć. Stada wprowadzano do owczarni kolejno, za każdym zamykając przegrodę, aby nie wywołać zmieszania się. Ponowne rozdzielanie byłoby zbyt kłopotliwe i trwałoby długo. Kręciłam się w swoim rewirze między jakimiś dołami, wypełnionymi śniegiem, głodna, słaba, bez możliwości odpoczynku. Ziemia, mokra, odstraszała od siadania. Wreszcie mnie zawołano, zdałam stado. Mama czekała z zupą, którą już oboje z tatą jedli, bo tato wrócił wcześniej niż ja. Uspokajano nas, że noc na pewno będzie lepsza od wczorajszej. Cały dzień panie tępiły pluskwy. Zlewały wrzątkiem ściany i polepę.

Niestety, tępienie insektów nie okazało się skuteczne. Nocą pojawiły się znowu, spadały z sufitu. Chyba bardziej zażarte. Wyniosłam się więc do sieni, gdzie było odrobinę lepiej, lecz wciąż ktoś tamtędy przechodził. Pseudo drzwi trzeszczały. Moje legowisko przeszkadzało. Musiałam zrezygnować ze spania w sieni. Z początkiem maja zrobiło się cieplej, przeniosłam się więc na drewnianą trybunę, stała na placyku, tuż przed naszym oknem. Zaprosiłam do towarzystwa, zachwyconą tym, Matyldzie. Wytrzepałyśmy i sprawdziłyśmy okrycia, aby nie zawlec robactwa. A gdy kiedyś deszcz nas wypłoszył, wyniosłyśmy się do opuszczonej przez owce stajni, którą już „wymalowano” na zimę. Tam można było się wyspać. Miejsce lepsze, niż to, które dano ludziom. Zwierzęta były ważniejsze. To dla nich trzymano w „koszarach” bryły soli. Dla nas soli nie było. Za kradzież soli groziły dwa lata więzienia, jak informował ojca Kazach, którego mój rodzic przyłapał na rąbaniu bryły. Ów Kazach bryłę się podzielił. Zalecił jednak ukryć sól, aby nikt nie doniósł władzom.

Cierpiałam na bóle głowy, które potęgowała lokalizacja terenu do wypasu owiec. W zaśnieżonych rowach gniła padlina. Owce chorowały na gruźlicę. Stłoczone w ciasnocie i zaduchu, padały. Zdechłe rzucano po rowach. Nie zakopywano, gdyż – twierdzono – nie było komu. Pozwolono to zrobić Polakom, lecz dopiero po całym dniu pracy – kiedy nikt z nas nie miał już sił – i bez odpowiednich narzędzi. Domagałam się, aby mi dano inny teren. Odtąd pasłam na jakimś pagórku, między terenem Andrzeja i Matyldzi, piętnastolatki, którą też zmuszono do pracy. Tam tkwiliśmy do końca kwietnia, marznąc od świtu do zmroku, zwykle o jednym podpłomyku na cały dzień; oczywiście, jeśli dano nam przydział mąki zamiast chleba. Za dwa tygodnie pracy przy wypasie owiec otrzymałam piętnaście rubli oraz premię – również

piętnaście rubli – za to, że mi na dyżurze żadna owca nie padła. Błada i dumna zaniiosłam mamie pierwszą wypłatę. – Dobrze i to – westchnęła. – Przed rokiem miałoby wartość. Teraz jajko kosztuje trzy ruble. Piętnaście dni, od świtu do zmroku, za dziesięć jaj. –

Wiosna tutaj zapanowała w maju. Inna. Nie spotkałam owego bogactwa kwiecica, jakie zachwyciło mnie w Górnym. Nie znalazłam szczawiu, którym jakiś czas żywiliśmy się w Centrali. Tutaj step zielenił się lebiodą. Z początku była uzupełnieniem potraw, potem, w okresie „międzypaczkowym”, stanowiła jedyne wyżywienie. Później mama zbierała kwiat dziewanny i dziurawiec. To wszystko trwało ledwie parę tygodni, zanim słońce nie wysuszyło roślin. Przez kilkanaście kolejnych dni, o świcie mama zbierała na gnojowisku pieczarki, lecz i one niebawem się skończyły.

Przydzielono mi stado dwustu dwudziestu owiec i teren za rzeką, którą przekraczałam, prowadząc zwierzęta na wypas w głęboki step. Wszystkie stada rozchodziły się z fermy promieniście, nie groziło zatem ich zmieszanie. Moje zajmowało w owczarni miejsce przy wrotach. Stada wprowadzano do stajni kolejno, po każdym zamykając przegrodę wewnętrzną. Ponieważ moje stado, jako ostatnie, mieściło się przy wrotach, dlatego musiałam wyprowadzać pierwsza o brzasku, a wprowadzać ostatnia, o zmroku. Pracowałam zazwyczaj dwie godziny dłużej niż inni, a czasem nawet więcej. Za każdym razem owce liczone. Oddalały się od fermy, skubiąc trawę. Szły tak do południa. Kiedy słońce było w zenicie, stawały blisko jedna przy drugiej, chowając łeb pod brzuch sąsiadki i wymieniając się co jakiś czas, aby każda mogła uchronić się przed przegrzaniem. Tak stały dwie godziny, murem. Co za instynkt i solidarność. Te, narzucone mi, przerwy wykorzystywałam na wypoczynek. Nosiłam w chlebaku książkę, parę listów, kartki do odpisania. Czasem miałam placuszek z mąki i wody, lecz bywały dni, kiedy żywiliśmy się *taukanem* – łuska z prosa, mielona na żarnach, stosowana przez Rosjan na paszę świń – albo usiłowałam jeść uschnięte, łykowane łodygi lebiody.

Samotność mi nie ciążyła. Wypoczywałam od gwaru, ruchu i konieczności liczenia się z ciągłą obecnością nader wielu ludzi. Chętnie brałam ze sobą *Antologię liryki polskiej*, czytałam. Pisałam wierszyki. Czasami śpiewałam, zapewne baraním głosem, bo owce mi wtórowały.

Pewnego ranka kilka owiec zaczęło wydawać dziwne głosy, ani beczenie, ani kaszel. Wyciągały szyje i łbami trącały mnie pod kolana. Wpadłam w panikę, że się pewnie potruły jakimś zielskiem i zdychają. Od fermy odeszłam już ze cztery kilometry, nie zdążyłabym stada szybko tam pognać. Zostawiłam je

więc i popędziłam sama, jak szalona. Gdy zziajana wpadłam na fermę, zastałam czabanów przed stajnią. Najstarszy zapytał, co się stało.

– Owce! Wielojęzyczną mową, gestami, ruchami, wyciągniętą szyją, otwartą gębą usiłowałam tłumaczyć, popędzając, aby biegli ratować stworzenia, a oni nic.

– Gina, zdychają, *ponimajesz?* Omal nie płakałam. Oni patrzyli na mnie z uwagą, zrozumieli całe to przedstawienie, i nic.

– Zdychają – wrzeszczałam – nie będziecie mieli owiec, *ponimajesz?*

– Będziemy mieli i to jeszcze więcej; któryś powiedział, ale to do mnie nie od razu dotarło.

– Oj, ba, joj! Tak się przejęła, że się sama tu zaraz okoci; zawołał inny radośnie i ryknęli śmiechem.

Zbaraniałam.

– Co? Jak? Zachnęłam się, zrozumiawszy, i szybkoitko zwiałam.

Byłam bliska płaczu wskutek upokorzenia, zmęczenia, również z przejęcia i ze strachu, co ja mam z tym fantem robić? Przystanąłam za biurkiem, a potem wróciłam krokiem pełnym godności i powiedziałam dobitnie.

– Macie mi przysłać zootechnika! Ja nie specjalista. I macie dać podwodę na jagnięta! Po drodze jest rzeka.

Odeszłam. Minawszy zabudowania, popędziłam, bardzo zaniepokojona. Przybyło siedem jagniąt. Zanosiło się na więcej. Padłam i usnęłam, ledwie podłożywszy chlebak pod głowę i przykrywszy ją chustką. Obudziły mnie owce; już po swojej południowej sjeście. Radziły sobie same. Przypomniało mi się, co mówił Andrzej. Owce bywają partiami sztucznie zapładniane, stad nie trzeba mieszać. Są grupowane według terminu kocenia. Tylko, że ja nie sądziłam, iż to moje stado jest kotne. Czarna ze mnie masa. Oczywiście, nie przysłano mi zootechnika, ani nikogo. Gdyby mi mama nie pomogła, nie wiem, jak dałabym sobie radę z przenoszeniem jagniąt przez rzekę.

Kiedy dążąc do Tiki Bułaku martwiłam się, że to „za karę”, usiłowałam pocieszyć się faktem, że tam już prawie rok żyją nasi, no i przede wszystkim tym, że znów będziemy razem z Elą i jej rodziną. Nie zastaliśmy ich jednak, bo z miejsca odprawiono ich do Kuduku. Kuduk to nie był już nawet chutor, dwie lepianki i owce do wypasu. Pustkowie i głód. Tak spełniała się zemsta Gałysza. Do Tiki wrócili po miesiącu. Pani Wiktoria, matka dziewcząt, czuła się bardzo źle. Toteż po kilku dniach pobytu z nami Fela zdecydowała się na wyjazd z matką do Urdżaru, do szpitala. Lekarze, dwaj Polacy ze Lwowa, okazali się bezsilni. Pani Wiktoria zmarła na raka. Tam została pochowana. Fela wróciła sama. Nie mogąc opędzić się myślom, że nadzieja, którą żyliśmy, jeszcze raz zawiodła.

Parę dni przed końcem maja Kazach *uprawalajuszcy* Tiki Bułaku zapowiedział, że tym razem także Polacy pójdą na letnie koczowisko z trzodą w step; niczym nasz polski, góralski redyk. To się nazywało po kazachsku *dżajlau*. Nie mogłam spać po nocach. Wytypował mnie spośród wielu, lecz w ostatnim dniu zrezygnował z pozostałych. Cały zaszczyt spadł na mnie. Popędziłam do mamy z płaczem. Wzięła mnie za rękę i taką, spłakaną, zaprowadziła wprost do żony pana i władcy. Ona słabo mówiła po rosyjsku, tak mniej więcej jak ja po kazachsku, ale zrozumieliśmy się doskonale. Na drugi dzień zgłosiłam się do pracy, a gdy już moja kolejka wyprowadzania stada nadeszła, pędziłam je we wskazanym kierunku. Rzekę przechodziło się w innym miejscu i stąd więcej miałam kłopotu z przenoszeniem jagniąt. Kiedy już część mego stada znalazła się po drugiej stronie rzeki, a ja zbierałam następną partię, by przenieść, wtedy moje przeprowadzone owce nagle się spłoszyły i rozbiegły. Zdołały się zmieszać z dwoma innymi stadami, z prawej i lewej. Dostałam kręćka i biegałam w kółko bezradna. Właśnie na to wszystko nadszedł ów despotyczny władca z żoną i synkiem półtorarocznym, niesionym przez babkę. Z okropnym jazgotem i wymachiwaniem rąk kobiety pokazywały, co myślą o mojej gapiowatości i nieudolności, aż Kazach się zirytował i wyrzucił mnie. Na to czekałam. Ani mu do głowy nie przyszło, że cały ten cyrk został zaaranżowany przez babską solidarność. Mama w rewanżu uszyła Kazaczce – z jej zniszczonego kubraczka – zimowy płaszczyk dla synka, na wyrost. Naturalnie, mama uszyła w rękach, a z mojego zarękawka, chowanego na czarną godzinę, dodała kołnierz barankowy z klapami i mankiety, co się Kazaczce bardzo podobało. Ponieważ mama nie przyjęła pieniędzy, Kazaczka przyniosła jagły „przynajmniej za to futerko”. Zwierzyła się, że mnie lubi, gdyż gładzę po głowach kazachskie dzieci, co widywała i szkoda by mnie dać na *dżajlau*, gdzie się wszystko może zdarzyć.

\* \* \*

Matka Władzia pochodziła z Jugosławii. Była żoną konsula polskiego, więzionego przez NKWD, nie wymawiała głoski „ł”, toteż jej syna niektórzy złośliwie nazywali Władziem. Delegowano go akurat do Tas Bułaku Centrali, aby zawiózł beczki z ropą naftową. Nie ostrzeżono, że musi uważać na zakręt tuż przy bardzo stromym spadku drogi, która wskutek skał zmienia nagle kierunek pod kątem prostym. Na dodatek dano Władziowi zwierzę jednookie, narowiste. Słońce prażyło, wół człapał wolno, Władzio kiwał się na beczce, aż go zmogło i usnął. Zbudził się zbyt późno. Arba już pędziła z góry, wół gnał na oślep i wykręcił sobie nogę. Dyszel wozu uderzył w skałę. Beczka spadła,

wóz stracił koło, złamał dyszel. Najgorsze, że beczka pękła i *karasina* wypłynęła. Nieudolny, potłuczony woźnica wrócił do Tiki z kulawym wołem.

– Sabotaż! Pięć lat za sabotaż. Popamiętasz, Polaku! – Rozpętała się wokół chłopca burza. Sprawdzano autentyczność sińców, zarządzono wizję lokalną, zwieziono szczątki beczki i dwukółki jako dowód rzeczowy sabotażu. Słowem, obłąd. Pani Łabędzka rozpacziała, że jedynaka zamkną, on zaś, obolały wskutek potłuczeń, chodził jak struty. Ninia płakała całą noc.

Rano Ninia zbudziła się z gotowym planem. Poszła wprost do *uprawalajuszczonego*. Przedstawiła się, jest narzeczoną Władzia, mają się pobrać, dlatego ośmiela się tłumaczyć, że to nie jego wina, lecz wół, napadnięty przez muchy, pędząc z góry, nie dał się zatrzymać. Najlepszy dowód, że woźnica został potłuczony. Na koniec wybuchła płaczem, iż dzieje się im krzywda. Wypadek może się przytrafić nawet temu, kto lepiej zna się na wołach. Eteryzna panielka, bardzo się przejęła. Odeszła ze łzami. Sprawa przycichła. Ninia czuła się już wybawicielką, chodziła do pracy. Kopiczkowała siano. Pewnego razu przyjechał tam *uprawalajuszcy*.

– *Nu, dawaj, kyzymka!* Poznakomym sia; wyłożył rzecz prosto. Nikogo w pobliżu, żaden krzyk nie pomoże. Za gwałt grozi kara pięć lat, ale trzeba wpierw udowodnić. Co robić? Bronić się widłami? On silniejszy. Zdecydowała. – Zrób jeden krok, a ja się przebiję; zawołała, gdy zsiadał z wołu, i oparła widły trzonkiem o ziemię, kierując zęby prosto we własne piersi. Zrozumiał. Zaskoczyła go desperackim oporem.

– *Zdurzyła, cztołi?* (zglupiała, czy co?). I klnąc po kazachsku ruszył w powrotną drogę. Władziowi jednak się upiekło. Ożenił się z Ninią już w Persji.

\* \* \*

W czerwcu otrzymałam pełną pensję miesięczną i premię, razem sześćdziesiąt rubli. Owce wyprowadzono w step, a nas rozesłano do zbiorów. Chłopcy trafili na sianokosy z częścią dziewcząt. Inne dziewczęta na plantacje, wśród nich ja i Ela. Już pracowało tam kilka naszych dziewcząt oraz pani Czupkiewiczowa z Izą. Plantacje, zwane ogrodami, znajdowały się w odległości pięciu kilometrów od fermy. Kierował nimi ogrodnik, „dziadek”, który tam mieszkał z jedenastoletnim synem Wašką, w małej chałupie. Zajmował kuchenkę, odstąpiwszy izdebkę robotnicom, które sypiały na glinie pokotem, w ciasnocie, pozwalającej jednak na obracanie się z boku na bok, co już umialiśmy doceniać.

Nie dowożono tam żywności, miałyśmy prawo korzystania z przydziałów

ziemniaków, które gotowała pani Czupkiewiczowa, za co myśmy odrabiały jej normę. Dziadek chętnie się zgodził, bo gotowała również dla niego i Waśki, a reszta pracowników nie traciła czasu. Budził nas przed brzaskiem, prowadził na wyznaczony teren robót, aby ze świtem rozpocząć walkę z chwastami. Koło ósmej Waśka wołał nas na śniadaniową kartoflankę. Na obiad były ziemniaki. Pani Czupkiewiczowa umiała dziada przekonać, że harowa wymaga właściwego wyżywienia, inaczej nie wykonamy normy. Po obiedzie, w najgorszy upał, pozwalała na półgodzinny odpoczynek. Kolacja bywała po całodziennych pracach, prawie po ciemku; kartoflanka, jak rano, osolona, cudowna. Nie kazano nam za wyżywienie płacić, lecz nie przypominam sobie, abyśmy za pracę otrzymały jakąkolwiek gotówkę. Dość, że karmiono.

Harowałyśmy porządnie. Podczas pielienia długich pól kapusty, ogórków, ziemniaków, *bakszy* (dynie, kawony i melony), gdyśmy osiągały jeden koniec zagonu, ten drugi, wypielony, zdążył już od nowa zarosnąć chwastami. Syzyfowa praca i ciągle poganianie *dawaj skorej!* Lato, słońce praży, temperatura straszna, powyżej czterdziestu stopni; w południe więcej. Bolały plecy, ręce ropieją przy drobnym skaleczeniu, awitaminoza coraz to głębsza. Wieczorem wlecemy nogi do izbuszki, schodzimy do sąsiadującego z nią głębokiego jaru, by umyć się w strumieniu, a po kolacji paść i natychmiast usnąć.

Minęła połowa czerwca i żar się nasilał. Wstałam z okropnym bólem głowy i po śniadaniu zapomniałam włożyć chustkę, bo czułam się, jak w żelaznej obręczy. Schyłona nad grzędami pracowałam do obiadu, który przespałam. Nie mogłam się ruszyć, zmogło mnie porażenie słoneczne. Pani Czupkiewiczowa stwierdziła, że mam silną gorączkę. Wybawiła mnie tym z opresji, gdy dziadek wrzeszczał, abym przestała symulować i poszła do roboty. Na drugi dzień było gorzej, gdy więc zjawiała się nieoczekiwana *arba* z fermy, Czupkiewiczowa namówiła dziadka, aby mnie odesłał, bo brak pewności, czy się wygrzebie. W Tiki mama pożyczyła termometr od pani Serwatowskiej, wskazał czterdzieści stopni. Leżałam półprzytomna, mama chłodziła mi głowę okładami i zamartwiała się, że nie mogłam niczego przełknąć, wszystko zdawało mi się gorzkie, nie tylko mleko od krów karmionych piołunem. W dzień moich imienin otrzymałam list z życzeniami od Dzikki i płakałam ze wzruszenia, z bezsilności, z bólu głowy; lzy lały się same. Mama chciała iść do pobliskiego kołchozu, dwa kilometry, aby zdobyć kurę na mięso, z nadzieją, że rosół mi pomoże. Ubłagałam, żeby to odłożyła na drugi dzień, w obawie, iż nadal nie będę mogła niczego przełknąć. Wolałam zimne okłady.

Drugiego dnia mama wzięła resztki z ostatniej paczki na handel wymien-

ny do kołchozu, w którym trudno było cokolwiek dostać, gdyż, z powodu biedy nie przypominał Nowotrojska. Sami Kazachowie. Ojciec zjawił się z ważną wiadomością, wtedy nie pracował. Był na zwolnieniu chorobowym. Udręczony w kwietniu robotą przy cielakach, które brykały po stepie, zaniedbał nogę z niegojącym się paluchem. Groziło zakażenie. Pojechał więc do szpitala w Urdźarze, gdzie lekarze Polacy zajęli się nim. Leżał tam parę tygodni, nogę uratowano. Otrzymał zwolnienie z pracy wymagającej chodzenia i, pomimo gróźb naczałstwa, do roboty nie ruszył. Teraz przyszedł z wiadomością. Dziubarbej wiezie lampy stajenne dwukółką do Centrali i zabierze mnie do szpitalika, jeśli dopilnuję wołu; bo on jest po dwóch nocach nieprzespanych. Byłam gotowa, kiedy dziwne poruszenie zapanowało wśród Rosjan i tubylców, którym agronom Usatow przekazał wiadomość usłyszaną w radiu. Wkrótce i do nas dotarła. Niemcy napadły na ZSRR. Kij w mrowisko. Bieganina, niepokój, grupki przybitych tubylców. Wojna. I Polacy, zbierają się i rozważają, jakie to dla nas będzie miało znaczenie. Co teraz? Co dalej? Co z więźniami, zesłańcami? Co ze Lwowem, z Polską? Co na to świat, alianci?

Dziubarbej pyta, czy jadę. Oczywiście. Biorę chlebak, koszulę nocną, ręcznik, kawałeczek mydła i parę książek, na potem, gdy już będę mogła czytać. Włożyłam nową sukienkę, którą mi mama uszyła ze story i widzę w lusterku, że jestem dalej żółta. Włosy wiążę w dwa pędzelki. Tato sadowi mnie na dwukółce, obok Dziubarbej ułożył chlebak. Wół jest ten sam, który rozbił Władzia. Ojciec wręcza mi butelkę z wodą.

– Polewaj ręcznik na głowie i nie usnij, bo on, Kazach, pewnie chrapnie. Uważaj na tym niebezpiecznym zakręcie! Mamie będzie żal, że nie zdążyła z rosołem. Bądź zdrowa i przy każdej okazji przysyłaj wiadomości.

– Ucałowania dla mamy. Kurę zjedzcie na moje zdrowie. Wzięłam od Kazacha kij, gdyż faktycznie chrapnął. Ruszyłam, zadowolona, że wołu się nie śpieszy. Nie było mi wygodnie, głowa wprost przeszkadzała, okropny ból, gorączka. Groźny zakręt przewidziałam i tak szarpałam śpiącego, że zdążył się zbudzić i skutecznie hamował dwukółkę. W Sigizbaju kilka napotkanych przy pocście kobiet, które znały mnie rok a pożegnały dwa miesiące temu, pytało, z jakiej jestem fermy, zwracając się per pani. Nie poznały mnie.

W szpitalu przyjęła mnie Miła, umieściła w sali kobiecej, przy oknie, podała leki i nie zdążyła z zupą. Zapadłam w straszny sen. Przez cztery doby nie odzyskiwałam przytomności, a potem przyplątała się malaria. Ciocia Iza dowiadywała się o mój stan. Gdy oprzytomniałam, po kryjomu dzieliłam się z nią zupą. Tydzień później przywieziono Matyldię z dolegliwościami

brzucha, gorączkującą, bez fantazji. Spostrzegła moje manipulacje z zupą i dopóki nie mogła jeść, oddawała mi połowę swojej, abym całą porcję mogła mieć dla cioci, która biedowała. Spotkałam Lalę Schmallównę. Pracowała jako salowa dzięki protekcji Mili, która wybawiła ją od harówki w magazynie zbożowym. Matyldzia, wyleczona z tyfusu, opuściła szpital wcześniej niż ja. Podałam przez nią list rodzicom. Wysłałam dopiero po sześciu tygodniach. Otrzymałam zwolnienie lekarskie z pracy, całkowite na dni trzy, a do końca sezonu niepełne, czyli z robót na słońcu. Rekonwalescencja następowała z trudem. Po trzech dniach zwolnienia całkowitego, czyszcząc stajnię, zemdlalam, wtedy mama zatrzymała mnie w domu także trzy dni. Później zabrakło sposobu. Wszystko nazywano sabotażem, a pracy innej niż na słońcu tam przecież nie było.

Wróciłam na plantację, przywitana miło przez naszych a z przekąsem przez dziadka. Teraz w grę wchodziło podlewanie. Zbierało się już plony, ogórki, kapustę, pomidory, kawony i melony. Od czasu do czasu przybywał wóz i należało ładować w obłądnym tempie. Biegałyśmy z ciężarem do upadłego, czasem obdarzane kopniakiem. Bywało, że nie zgłaszano się po zamówione płody, na przykład pomidory. Sterta złożona przy drodze, czekając na przyczepę samochodową, gniła. Dopiero wtedy pozwolono je nam zjadać. Natomiast zwykle plonów strzegł dziadek, jego żona lub Waśka, grożąc *progulem*. Raz na tydzień szłyśmy do domu pod warunkiem, że o brzasku będziemy z powrotem. Dziadek pilnował, abyśmy niczego z plantacji nie brały (*kazionne*), Waśka odprowadzał nas do końca ogrodów. Nieco dalej znajdował się upatrzony dół. Tam któraś, za dnia, ukradkiem zostawiała część plonów. Pożegnane przez szpiegującego Waśkę – pod osłoną ciemności – brałyśmy te owoce do domów. A na polu gniły.

Ferma trzęsa się wskutek najbardziej fantastycznych wieści i domysłów, często sprzecznych, zasłyszanych gdzieś przez kogoś jako rzekome komunikaty radiowe. Niemcy parli za Armią Czerwoną, wciągającą ich w pułapkę. Polacy będą zwolnieni z więzień i łagrów. Ma powstać nasze wojsko, bądź sowieckie, choć z Polaków. Mężczyzn obowiązuje pobór. Polaków odeślą do kraju, albo umieszczą w obozach. Obłąd. Postanowiliśmy nikomu nie wierzyć, nie denerwować się i basta. Rosjanie i Kazachowie ćwiczyli musztrę, maszerowali po placyku, przed trybuną, z kijami w ręku ćwiczyli pod wodzą Usatowa, który służył w wojsku. Dzieci naśladowały mężczyzn.

\* \* \*

Nie zwierzałam się nikomu, że czekam na Wandę. Harowałyśmy, zadreżcane przez ogrodnika, który wydawał się podminowany jak wszyscy Rosjanie,

przeżony wojną. Jego żona suszyła melony, krojone w plastry, na zimę. Mówiła do pani Czupkiewiczowej, że dla sowchozu, choć wiedziała, że nikt w to nie wierzy. Nam nie było wolno robić zapasów. Dziadek sporządzał kosze z wikliny znad strumyka, duże jak wiadra, i do nich zbierałyśmy pomidory oraz ziemniaki. Poganiał nas bez przerwy, nerwowo, z krzykiem, ze złością. Wskazał rzędy pomidorów do zrywania. Teren był tam lekko pochyły w kierunku drogi. Ela wypatrzyła, że od fermy zbliżają się do nas dwie osoby, duża i mała.

– Chyba to pani Kierepkowa i ktoś jeszcze; zgadywały dziewczęta.

Wyprostowałam się i rzuciłam okiem, choć jako krótkowidz nie mogłam stwierdzić, kto to. I nagle odczułam. Na ślepo. Wiedziałam. Zaczęłam pędzić.

– Wanda! Wanda! Wandziu! – Wołałam.

– Jezus, Maria! Ela podskoczyła do mnie. Minęłam ją, darłam się, pędziłam, wiewałam chusteczką, przeskakiwałam krzewy zastępujące mi drogę, aż zbliżające się osoby zamachały rękami. Ta mniejsza wybiegała naprzeciw. Wandzia. Co za radość.

– Wandziu, jesteś.

– Ala! Alunia!

Padłyśmy sobie w objęcia. Nadeszła pani Kierepkowa, a za nią moje koleżanki. Potem dziadek, wiedział, kto i skąd. Wydarzenie niezwykle, Polaków zwalniamy. Nie protestował więc, abyśmy wzięły gości na obiad. Pozwolił urwać pomidory do ziemniaków. A sam przyniósł duży kawon. My zasypywałyśmy Wandę pytaniami, na które odpowiadała wszystkim naraz. Wypuszczona na podstawie układu Sikorski – Majski, to prawda, pierwszego września, z innymi Polkami z łagru. Zwrócono jej okulary, zabrane przy uwięzieniu, zegarek zaś przepadł. Na drogę dano bilet kolejowy, gdyż miała adres rodziców; tak, do samego Ajaguzu. Pierwszą, spotkanie, Polkę pytała o sowchoz Tas Bułak. To była Marylka Fiszer. Również zwolniona. Nie, nie znały się wcześniej. Dalej jechały razem. Otrzymała na podróż chleb, ryby, sześćdziesiąt rubli. Marylka nocowała w Tiki, teraz ma czym się dostać do Tas Bułaku, gdzie mieszkają rodzice. Wandzia jechała pociągiem pięć dni. Armia polska tworzy się naprawdę. Wszyscy Polacy mogą do niej wstąpić. I ci z więzień, i ci z łagrów, nawet młodzi, którzy nie służyli w wojsku. A dziewczęta i dojrzałe kobiety do służby pomocniczej. Kiedy skończył się czas pracy, razem poszliśmy na fermę. Tam zbiegli się wszyscy nasi. Wandzia była tą pierwszą jaskółką, od której można się wiele dowiedzieć o więzieniu i łagrze. Panie miały mężów, synów, braci, którzy przechodzili podobne koleje losu. Chciały wiedzieć. Długie, nocne, Polaków rozmowy musiałyśmy skrócić, aby przed brzaskiem meldować się w ogrodach.

Wandę zmuszono strzyc owce, bardzo się tym zmordowała. Kiedy się upewniła, że przysługuje jej teraz urlop, więcej do pracy nie poszła.

Moje ręce wyglądały kiepsko. Wanda rozbeczała się na taki widok. Kilka obrzmiałych ropniaków, skóra gruba jak podeszwa, spękana aż do krwi. Wyprawa do lekarza nie miała sensu, zajęłaby roboczodniówkę, tyleż powrót, a zwolnienie krótkie, na trzy dni. Wandzia uparła się, że mnie zastąpi, ledwie zdołaliśmy wybić jej ten pomysł z głowy, zresztą sama by wpadła, a mnie by nie uratowała. Rosjanie szaleli, wojna dawała im niezłą nauczkę, brali ciężki, truchleli ze strachu, co się skrupiało na nas. Okres zbiorów oznaczał, że zjedzie wiele fur i samochodów po towar. Ładowało się więc plony od świtu do nocy, wciąż w nerwach, przy krzyku odbiorców i wrzasku poganiaczy. Przemęczyłam się, dostałam krwotoku i po strasznej nocy wlokłam się do domu, na fermę. Tam oficjalnie poinformowano nas o zezwoleniu na przeprowadzkę w wybrane miejsce, niezagrożone wojną i podano termin zgłoszeń. Wielu zdecydowało się na Urdzar, który był najbliższym miasteczkiem, inni wybierali Ajaguz ze stacją kolejową, część zdecydowała, że zostanie na miejscu, dopóki nie dowie się, jak to jest naprawdę.

Po licznych naradach wybraliśmy Urdzar. Ojciec miał nadzieję na pracę w drukarni. Mama liczyła się z kosztem przeniesienia na własną rękę. Obie z Wandzią udałyśmy się tam w ostatnich dniach października, by znaleźć kwaterę. Dołączyła do nas Matyldzia. Zatrzymałyśmy się u pani Ani Nowakowej, która z dziećmi i panią Korzeniowską już tam mieszkała od kilku dni. Matyldzi poszło łatwiej, miała tylko matkę, nam dla czworga było trudniej. Wreszcie na krańcach miasta wskazano nam chałupinę, której właścicielka wyjechała, gdyż męża wcielono do armii, zostawiła klucz sąsiadce, aby dom komuś wynajęła. Cud. Małutka sionka, izba z ruskim piecem i przypieckiem, stół, dwa stołki i na tym koniec. Brak łóżek. Trudno. Cena przystępna. Wiadra na wodę, razem z nosidłami pożyczmy nam sąsiadka, także wózek i siekierkę na gałęzie opałowe.

Mama przyjechała tak zwaną okazją, zatrzymaną na szosie; razem z panią Kierepkową. Ojca zaś wzięto do roboty w Tas Bułaku, aby kleił i zszywał urzędowe papiery przez cały miesiąc. Mamie sporządziłyśmy legowisko na przykrótkim, lecz ciepłym przypiecku. My natomiast spałyśmy na pojedynczej kapie, przykryte pierzyną. Niestety, mój stan zdrowia był nie najlepszy. Wyprawa po gałęzie (*karagaj*) znów zakończyła się krwotokiem, który męczył mnie sześć tygodni. Leżałam na zimnej glinie, w słabo ogrzanej izbie. Co dzień mama gotowała marną zupę, ale wobec przerwania kontaktów ze

Lwowem, skąd rodzina ratowała nas paczkami, rokowania nie wyglądały obiecująco. Cieszyliśmy się przynajmniej intymnością rodzinną, ciszą, spokojem. Żal nam było, że tata nie ma z nami; dołączył pierwszego grudnia. Nasza pierwsza noc w tej kwaterze przypadła na Wszystkich Świętych. Zdawała się wynagrodzeniem za ową noc sprzed roku, gdy zalewała nas glina i woda. Sielanka jednak skończyła się nieoczekiwanie. Dzień przed przyjazdem tata sąsiadka zawiadamia nas, że gospodyni wraca. Zaczęłyśmy szukać nowego miejsca dla siebie, co okazało się bardzo trudne wskutek napływu Polaków z różnych ferm.

### W Urdzarze

Ojciec zdążył nocować w chałupinie jeden raz. Zobaczył, jak mieszkamy, poznał sąsiadkę, właścicielkę miednicy i nożyczek. Podziwiał moją pomysłowość, izbę oświetliłam z pomocą olejku rycynusowego. Umieściłam go w pudełeczku od pasty do butów (pamiątka ze Lwowa), knot zaś zmajstrowałam z bawełnianych frędzli.

Wandzi i mnie udało się wreszcie dostać adres nauczycielki, której mąż, oficer, poszedł na front, podczas gdy ona została w domu z matką. Zatem istniała szansa, że kobiety przyjmą lokatorów. Zgodziły się. Chatka była blisko śródmieścia, między szpitalem a apteką, zwrócona tyłem do ulicy, od której oddzielał ją niski murek przy furtce. Wejście od podwórka wiodło do sionki, drzwiami oddzielonej od kuchni. Piec kuchenny stanowił ścianę, między kuchnią a pokojem, do którego prowadził otwór na drzwi, zastąpione kotarą. Kuchnia miała małe okienko (którego nie sposób było otworzyć), wyposażona była jedynie w ławę, dwa wiadra na wodę i nosidła, parę garnków, misek oraz stołek z dzierzgą. Palenisko znajdowało się od strony kuchni, która ogrzewała całą kwaterę. W pokoju było okno – otwierało się – łóżko, stół, dwa stołki i kuferek na odzież, służący raczej do wdrapywania na wysoki przypiecek, na którym dotychczas sypiała *babuszka*. Tasia nauczycielka zajmowała owo łóżko z mężem, a teraz przygarnęła tam matkę, która odstąpiła swój przypiecek naszym rodzicom. Był za ciasny dla dwojga, a na dodatek za krótki – musieli podciągać nogi, aby się na nim zmieścić.

Dla Wandzi oraz mnie zabrakło legowiska. Przygotowano nam cegły, na które można położyć deski, gdyby były. *Babuszka* miała jedną. Gdy opuszczaliśmy z Wandzią Tiki Bułak, *uprawiajuszczy* zrabował nam deseczki i dykty z naszej pryczy, uznając je za własność państwową. Na szczęście ojciec, pracując w Tas Bułaku, odkupił od młodego drukarza trzy dykty. Niejako w zastępstwie

